

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 doł. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumeratę przyjmuje Biuro **UNGRA** w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. | Kraków, 29 kwietnia 1911. | Nr. 17.

Zbrodnia żołnierza.

(Treść na str. 2).



Nr. 17. „Nowości illustrowanych" zawiera: Proces prasowy w Warszawie. — Bohater dżumy. — Wśród dzikich. — Nowy dyrektor Syndykatu rolniczego. — Pożar pod Lwowem. — Z kroniki skandalicznej Paryża. — Zabawa dla dzieci w Podgórzu. — Akt chrześcijańskiej pokory. — Dwie wystawy. — Aeroplanem z Londynu do Paryża. — Sezon footballowy. —

Zgładzenie bandytów w Łodzi. — Zbrodnia w Warszawie. — (Szereg oryginalnych zdjęć z Warszawy i Łodzi.)

Zbrodnia żołnierza.

(Do illustracyi tutułowej).

W jednym z domów przy ul. Karmelickiej w Krakowie służyła od paru miesięcy jako pokojówka młoda,



Proces prasowy w Warszawie: Oskarżyciel p. Ignacy Korwin Milewski.

przystojna dziewczyna wiejska, Anna Drożdżówna. W dziewczynie tej zakochał się foryś porucznika, mieszkającego w tej samej kamienicy, Jan Kramarczyk i starał się usilnie pozyskać wzajemność swej bogdanki. Bez skutku jednak. Dziewczynie bowiem Kramarczyk się nie podobał, unikała go więc i wprost mu oświadczyła, że nigdy jej wzajemności nie pozyska.

Mimo to Kramarczyk prześladował ją swymi afektami, towarzyszył jej na przechadzkach, choć tego nie chciała, a ta natrętność nietylko szans jego nie poprawiała, lecz przeciwnie jeszcze bardziej dziewczynę do niego zniechęcała. Bojąc się zaś jego gwałtownych uczuć, bojąc się jego natrętnych afektów, Drożdżówna w ostatnich czasach prawie nie opuszczała mieszkania, byle tylko uniknąć spotkania z niesympatycznym adonisem.

Niechęć jej do Kramarczyka wzrosła zwłaszcza od czasu, gdy poznała pewnego czeladnika rymarskiego, który jej się naprawdę podobał a który również pokochał młodą a ładną dziewczynę. Dowiedział się o tem Kramarczyk, więc zazdrość jeszcze bardziej go podrażniła. Doszło do tego, iż wprost zagroził, iż nie dopuści do ślubu jej z kimkolwiek innym.

Nieustanne zajścia z natrętnym żołnierzem skłoniły wreszcie biedną dziewczynę do tego, iż postanowiła opuścić służbę w Krakowie i poszukać miejsca na prowincyi. Znalazła służbę w Zatorze i w ubiegłą sobotę — za zgodą swej służbodawczyni — miała wyjechać z Krakowa. Plan ten oczywiście trzymała w tajemnicy.

Kramarczyk jednak dowiedział się o tych jej zamiarach i w chwili gdy Drożdżówna ze swą służbodawczynią i stróżem domu przybyła na dworzec, oczekiwał jej w westybulu. Nie przypuszczając, by żołnierz zdolny był do zbrodni, Drożdżówna podeszła do kasy i kupiła bilet a gdy odeszła od okienka, zbliżył się do niej Kramarczyk i zapowiedział jej, iż nie pozwoli na jej wyjazd. Widząc zaś, że słowa jego nie wywarły wrażenia, dobył bagnetu i zadał biednej dziewczynie trzy ciosy w plecy. Zalana krwią padła Drożdżówna na ziemię a rozbestwiony żołnierz pchnął ją raz jeszcze w szyję, poczem rzucił się ku wyjściu, chcąc uciec. Tuż za dworcem atoli ujęto go i odprowadzono na inspekcyę policyjną a następnie do więzienia wojskowego.

Tymczasem poranioną dziewczyną zajęło się pogotowie ratunkowe. Okazało się, iż rany zadane bagnetem nie są ciężkie i nie zagrażają życiu dziewczyny. Pogotowie odwiozło ranną do szpitala, gdzie zapewne za parę tygodni przyjdzie zupełnie do zdrowia.

Rycina tytułowa w dzisiejszym numerze przedstawia chwilę zamachu Kramarczyka w westybulu dworca krakowskiego.



Proces prasowy w Warszawie: Oskarżony redaktor Ludwik Fryze.

Proces prasowy w Warszawie.

Głośnej a dość smutnej sławy Ignacy Korwin Milewski, którego nazwisko było tak w swoim czasie głośne w związku z romantycznemi rozmaitemi przygodami, przypomniał się znowu opinii publicznej w Warszawie przy sposobności procesu prasowego, wytoczonego przezeń redaktorowi „Kuryera porannego", Ludwikowi Fryzemu.

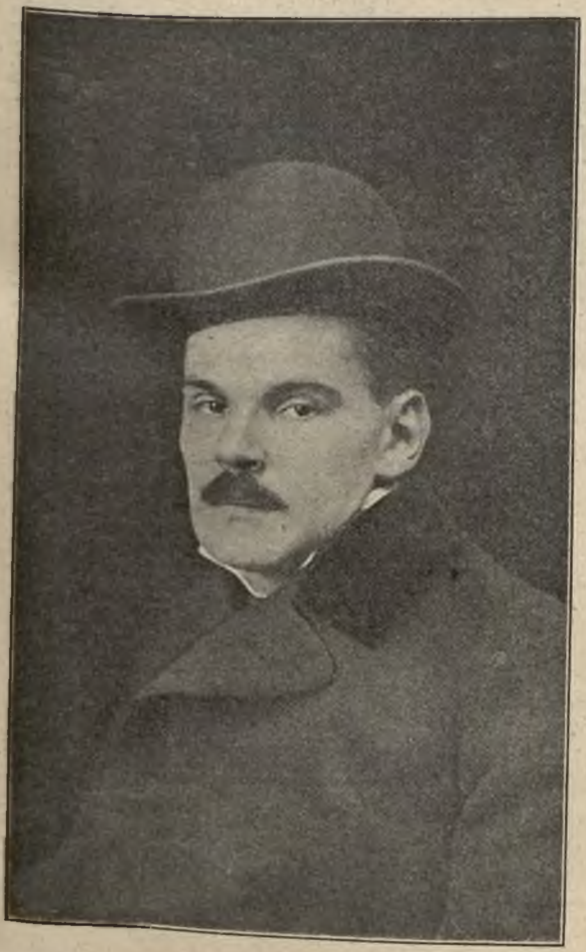


Wśród dzikich: Król saski Fryderyk August, przypatrujący się tańcom Dinkasów w Afryce.

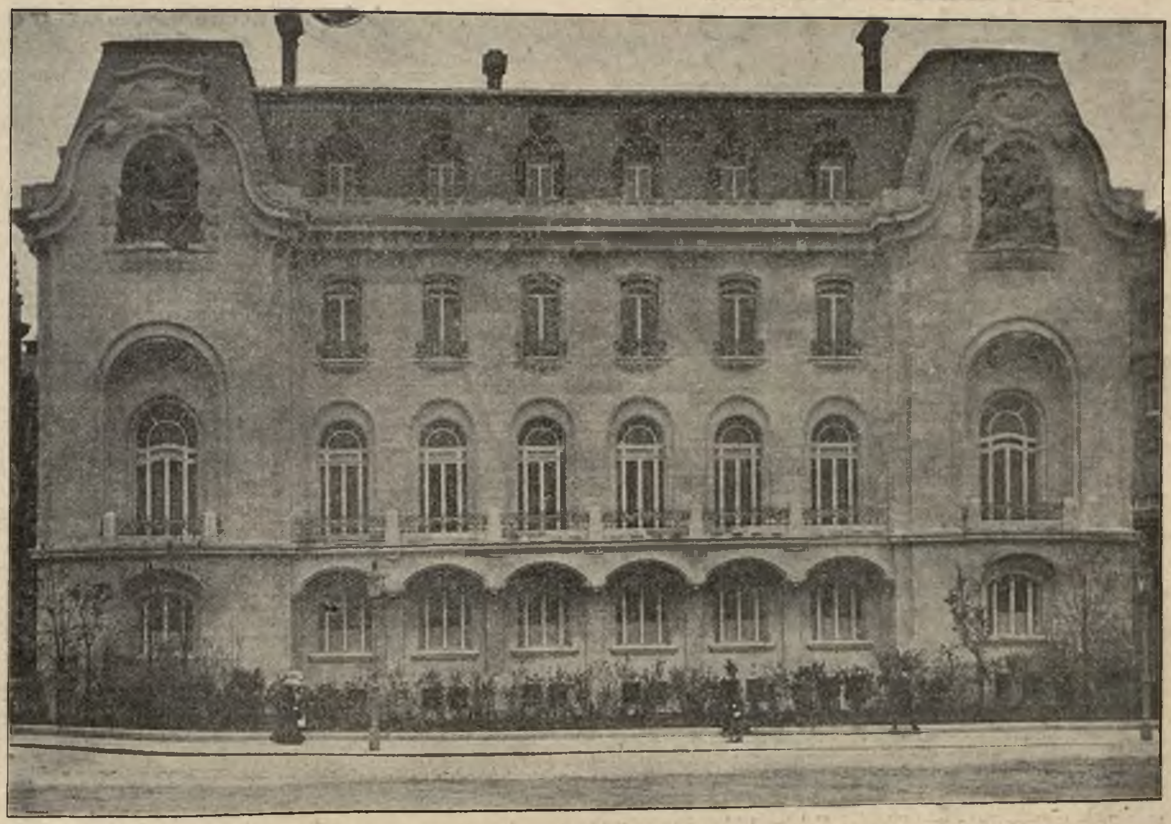
P. Milewski uczuł się obrażonym artykułem tego pisma p. t. „Litwacki magnat“ i pozwał redaktora Fryzego przed I. wydział karny warszawskiego sądu okręgowego.

Proces ten wywołał w Warszawie niemałą sensacyę, to też o oznaczonej godzinie zebrało się bardzo wiele publiczności w gmachu sądowym, chcąc się przysłuchać interesującemu procesowi. Niestety ciekawscy dwukrotnie się zawiedli. Zaraz na wstępie bowiem oznajmił przewodniczący wiceprezes Szustow, iż z rozporządzenia generał-gubernatora rozprawa toczyć się będzie przy drzwiach zamkniętych i publiczność musiała salę opuścić, następnie po krótkiej chwili oznajmiono, że wogóle rozprawa się nie odbędzie, gdyż została odroczona na czas dłuższy.

Oskarżyciel, p. Milewski, stawił się na rozprawę w towarzystwie swego zastępcy prawnego, p. Lewina z Wilna, oraz trzech jegomościów, którzy go ani na krok nie odstępowali, a z których jeden jest podobno ajentem policyjnym.



Nowy dyrektor Syndykatu rolniczego: Dr. Władysław Wróblewski.



Z kroniki skandalicznej Paryża: Pałac ambasady francuskiej w Wiedniu, przy którego budowie Hamon i Chedanne popełniali malwersacye.

Wśród dzikich.

Król saski Fryderyk August bawił niedawno w Afryce, dokąd wybrał się w podróż celem zapoznania się ze zwyczajami dzikich ludzi, zamieszkujących ogromne przestrzenie, celem zaznajomienia się z tamtejszą florą i fauną. Rycina nasza przedstawia króla saskiego, przypatrującego się tańcom ludowym szczepu Dinkasów.

Dinkasi są szczepem afrykańskich murzynów, zamieszkującym okolice rzeki Bahr el-Alsad. Od innych szczepów, w sąsiednich mieszkających krajach, różnią się Dinkasi wyższym nieco wzrostem oraz odmienną nieco budową czaszki. Dzielą się na szereg niezawisłych plemion; głównem ich zajęciem jest hodowla bydła oraz uprawa roli. Cywilizacya ich stoi na średnim poziomie, religia ich jest przesiąknięta mnóstwem dziwacznych zabobonów.

Wspomnieć jeszcze warto, iż wobec wysokiej stale temperatury chodzą prawie zupełnie nago, a tylko zamężne kobiety używają wąskich przepasek, od bioder spadających w dół. Jadają tylko raz na dzień. W ostatnich czasach poczęło się wśród Dinkasów krzewić chrześcijaństwo a liczba misyonarzy wśród nich wzrasta w każdym roku.

Bohater dżumy.

Już parokrotnie zamieszczaliśmy illustracye, odnoszące się do strasznej zarazy, która od kilku miesięcy dziesiątkuje ludność Mandżuryi. Były to zdjęcia fotograficzne, przedstawiające po większej części cierpienia nieszczęśliwych ofiar epidemii, konania powolne, tem okropniejsze, że dżuma nie odbiera świadomości i pozostawia choremu przytomność do ostatniej chwili.

Nieco inne znaczenie mają dzisiejsze ryciny. Nie z trwogą śmierci mamy tu do czynienia, ale z poświęceniem i nieustraszonem wypełnieniem obowiązku. Słuchacz wojskowej akademii medycznej w Petersburgu, Mamontow, którego ostatnie chwile przedstawiają nasze fotografie, padł na posterunku w walce z zarazą, a ostatnie chwile osładzała mu myśl, że wykonał, co do niego należało.

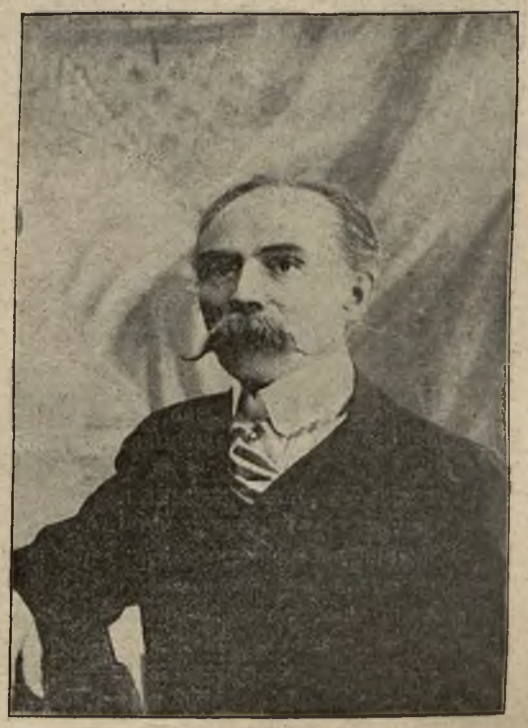
Mamontow zaraził się dżumą przy zastrzykiwaniu serum choremu. Choroba jego postępowała tak szybko, że mimo zastosowania wszelkich środków na trzeci dzień uczuł zbliżający się koniec. Z ust jego nie usłyszano ani słowa narzekania. Spokojnie poprosił o obstawienie łóżka swego kwiatami i wyzionął ducha, do ostatniej chwili przytomny, pełen rezygnacyi i pogody.

Nowy dyrektor Syndykatu rolniczego.

Pamiętne są dotąd niemiłe i gorszące zajścia, jakich widownią był krakowski Syndykat rolniczy. Spór między prezydyum rady nadzorczej a dyrekcyą przybrał rozmiary ostrej bardzo walki, a skończył się ustąpieniem zasłużonego dyrektora Syndykatu, dra Prażmowskiego. Na odbytem niedawno walnem zgromadzeniu, przyjęto rezygnacyę dra Prażmowskiego do wiadomości.



Bohater dżumy: Medyk Mamontow zastrzykuje choremu serum.



Małoletni zbrodniarz: Ś. p. Antoni Kałka, ofiara zbrodni.

Następcą jego mianowany został sekretarz namiestnictwa, zastępca delegata w Krakowie, dr. Władysław Wróblewski, docent uniwersytetu. W nowym dyrektorze zyskuje Syndykat siłę wybitną bardzo i cenną. W ciągu półtoraletniej niespełna działalności w Starostwie krakowskiem zaskarbił sobie dr. Wróblewski szczerą sympatyę swą uprzejmością i uczynnością, która powinna była być wzorem dla młodych urzędników. Wybitne zaś zdolności dr. Wróblewskiego, jego wielka pracowitość, wysoka wiedza i wszechstronne wykształcenie, są rękojmią, iż i na nowem stanowisku pracować będzie z wielkim pożytkiem dla instytucyi, na której dyrektora został powołany.



Małoletni zbrodniarz: Edward Tober, 16-letni morderca.

Dr. Władysław Wróblewski, ukończywszy studya prawnicze na uniwersytecie Jagiellońskim, poświęcił się służbie politycznej. Przez dłuższy czas pracował w namiestnictwie lwowskiem; przez czas jakiś był sekretarzem prezydyum, był też współpracownikiem redakcyi „Gazety lwowskiej". Po otwarciu informacyjnego biura prasowego przy namiestnictwie, dr. Wróblewski został powołany na kierownika tego biura.

Na stanowisku tem, które dało mu dużo sposobności do okazania wybitnych zdolności oraz wyjątkowego taktu, zyskał sobie szczerą sympatyę wśród wszystkich, którzy mieli sposobność z nim się zetknąć. Tą samą sympatyą cieszył się w sferach towarzyskich Lwowa.

Małoletni zbrodniarz.

Wielkomiejskie prawdziwie jest zepsucie Warszawy, gdyż obejmuje nietylko bardzo szerokie sfery społeczeństwa, ale zatruwa już nawet dusze dzieci, wkłada broń morderczą w ręce niedorostków. Przed kilku dniami zdarzyła się tam okropna zbrodnia, której sprawcą był chłopak zaledwie 16-letni.

Trzecie piętro domu przy ul. Marszałkowskiej l. 71, a więc w dzielnicy najruchliwszej, zajmowały pokoje umeblowane Antoniego Kałki. Zamieszkał tam niedawno młody człowiek, który wykazał się paszportem na nazwisko Edwarda Tobera, a zachowaniem się nie dawał żadnego powodu do podejrzeń.

O godzinie 11 numerowy wychodzi zwykle na obiad. Tak stało się i w dniu krytycznym. Gdy wrócił o 1 szej, spostrzegł na kurytarzu ślady krwi, które doprowadziły go do trupa gospodarza, zeszpeconego kilku ranami od noża, zadanemi w głowę i ze śladami duszenia na szyi. Przybyły lekarz pogotowia stwierdził śmierć.

Ślady krwi prowadziły z pokoju Tobera, a inne poszlaki pozwoliły policyi dość łatwo zrekonstruować sobie obraz zbrodni. Kałka wszedł do Tobera, ten rzucił się na niego z nożem, dopadł go koło kuchni na kurytarzu i tu zamordował po krótkiej obronie. Następnie rozbił kuferek swej ofiary, zabrał pieniądze, obmył się w swoim pokoju, zmienił ubranie i wyszedł do miasta.

W pościgu za złoczyńcą wykazała policya warszawka nieposlednią energię. Co prawda, trudności były niewielkie, gdyż Tobera widywało w pokojach umeblowanych Kałki kilka osób. Jedna z nich podążyła na poszukiwanie z agentem Żembralskim.

Dopomógł w tym wypadku i ślepy traf, który sprawił, że towarzysz Zembralskiego po krótkim czasie ujrzał z okna tramwaju siedzącą na ławce przy ulicy Trębackiej postać, podobną do niego. Twarz zmieniały tylko czarne okulary, widocznie umyślnie użyte do tego przez Tobera. Zembralski wyszedł i szybko chwycił za rękę podejrzane indywiduum. Po zdjęciu binokli nie było już wątpliwości, że był to sprawca ohydnej zbrodni.

Już w kilka godzin po zbrodni dostał się Tober w ręce władzy. Aresztowano go w chwili, gdy czytał w dziennikach opis swego morderstwa. W śledztwie natychmiast przyznał się do niego. Przed paru miesiącami okradł swego pracodawcę, kupca Antoniego Zehe w Łodzi na 500 rubli i zbiegł za granicę, stamtąd jednak wrócił do Warszawy, aby tam szukać zajęcia. Gdy mu zaczęło brakować pieniędzy, postanowił zabić i obrabować Kałkę, co też wykonał w sposób mniej więcej taki, jaki przypuszczała policya. W kuferku, który rozbił, było tylko niecałe 16 rubli.

Tober robi wrażenie starszego, niż jest rzeczywiście. Wyraz jego twarzy jest odrażający. Na drogę zbrodni popchnęła go lektura „Sherlock'ów" i żądza użycia bez pracy. Ze względu na młody wiek czeka go kara stosunkowo łagodna.

Załączone zdjęcia fotograficzne przedstawiają młodocianego mordercę, jego ofiarę, pokój Tobera i ciało Kałki tak, jak je znaleziono bezpośrednio po odkryciu śladów krwi na kurytarzu.



Bohater dżumy: Mamontow na łożu śmierci.



Małoletni zbrodniarz: Mieszkanie mordercy Tobera.



Małoletni zbrodniarz: Zwłoki ś. p. Kałki na miejscu zbrodni.

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

22 (Ciąg dalszy).

— Ani wtedy, gdy pani odprzęgała konia, ani później, gdy pani wracała do domu?

— Nie, panie.

— Którą ścieżką ze stajni wracała pani do domu?

— Jedna jest tylko.

— Czy pani tą ścieżką poszła prosto?

— Jak mogłam najprościej. Padał śnieg wielki, a mnie się w głowie zawracało i czułam się niedobrze; być może, że szłam trochę kręto.

— Czy aż tak kręto, żeby zajść za stajnię?

— Ach nie!

— Czy pani jest tego pewna, że pani nie zaszła aż poza stajnię?

— Jestem jak najpewniejsza, że nie!

— Miss Cumberland, już tylko parę pytań... Niech się pani przypatrzy temu kawałkowi odbitej butelki.

— Widzę, owszem.

— Proszę, niech pani to weźmie do ręki i obejrzy staranie.

Wyciągnęła rękę. Ręka ta drżała widocznie, a twarz wyrażała ciężkie strapienie; wzięła jednak ułamek stłuczonej butelki i przyjrzała mu się, zanim go oddała.

— Miss Cumberland, czy pani widziała kiedy przedtem ten ułamek stłuczonej butelki?

Potrząsnęła głową, poczem szybko spojrzała na brata, jak gdyby nagle nabrała odwagi.

— Nie — rzekła. — Może być, że widziałam kiedy w klubie całą taką butelkę, ale nie przypominam sobie tego stłuczonego kawałka — nie, z pewnością nie.

— Bardzo pani dziękuję, miss Cumberland. Nie będę już dziś trudził pani dłużej.

To powiedziawszy, podniósł głowę i spojrzawszy na Moffeta, uśmiechnął się sarkastycznie.

XXXII.
A JA NIC NIE POWIEDZIAŁEM!

Zawsze ją kochałem, wiedziałem, że tak jest, nawet wtedy, gdy najczarniejsze względem niej miałem podejrzenia. Ale teraz czułem, że wolno mi, że mogę ją uwielbiać. W miarę, jak ta myśl przenikała całe moje jestestwo, radość wstępowała mi w duszę. Radość, bez względu na to, co ją czekało, co czekało Artura, co mnie czekać mogło.

Następny dzień była to niedziela. Nie pragnąłem towarzystwa. Cliftona nawet widzieć nie chciałem. Nie mogłem znieść widoku ludzkiej twarzy; ją jedną tylko pragnąłem widzieć, ale jej widzieć nie mogłem. Pragnienie jednak, jeżeli już nie zobaczenia Karmeli, to choćby usłyszenia, jak się ona miewa, jak się czuje po tem ciężkiem przejściu, przemogło we mnie wszelkie inne względy. Zapytałem przez telefon doktora Carpentera. Od niego dowiedziałem się, że jakkolwiek fizycznie wyczerpana, jasność umysłu zachowała niezamąconą i pewną jest wciąż niezachwianie niewinności brata. To ostatnie oświadczenie można było rozmaicie tłómaczyć, ale ponieważ on to mówił do mnie, mogłem to sobie tłómaczyć w jeden tylko sposób.

Było to nie do zniesienia. Musiałem przemówić, musiałem się zapytać, czy ona słyszała, dlaczego w pierwszej chwili mnie aresztowano?

Stanowcze „nie“ przerwało moją mękę. Odetchnąłem i wyraziłem pokorną moją prośbę:

— Doktorze, ja nie mogę zbliżyć się do niej, ja nawet pisać do niej nie mogę. Ale niech pan jej wyrazi, gdy się nadarzy okazya, najgłębszy odemnie szacunek i cześć. Niechżeż nie mniema, że ja nie potrafię odczuć, jak najgłębiej, co ona przeszła i jeszcze przechodzi.

— Zrobię, co będę mógł — odpowiedział i przerwał rozmowę.

To działo się rano.

W godzinach popołudniowych siedziałem przy oknie i dumałem. Nierozwikłana zagadka morderstwa Adeli pochłaniała moje myśli. Skoro Karmela jest niewinną, kogoż tu posądzać można? Nie Artura! Tego byłem pewien. Czyż, gdyby był winny, mógłby mi rzucić takie spojrzenie, jak to, z jakiem na przelotną chwilę zetknąłem się przy wyjściu z sali, po skończonych zeznaniach jego siostry?

— Ty jesteś sprawcą — zdawało się mówić to spojrzenie, ale już nie tak nienawistne i mściwe, jak dawniej. Smutek był w tem przeświadczeniu i współczucie uczciwego człowieka, które, gdyby to inni zauważyli, o wiele niebezpieczniejsze mogłoby być dla mnie, niż najgłośniejsze oskarżenia i napaści... Pozostawała jednak zawsze dalsza szansa. Mógł się przecież jeszcze znaleść tajemniczy winowajca, choć kto go odkryje i jak go odkryje, nie mogem sobie wyobrazić. Nie miałem głowy do rozwikłania tych splątanych nici. Czy, o ile Artur uznany zostanie za niewinnego, zwróci się przeciw mnie oskarżenie? To pytanie wracało wciąż i wciąż... I tak minęły godziny popołudniowe.

Z nadejściem wieczoru zapragnąłem ruchu, powietrza; dusiłem się w zamkniętym pokoju. To też gdy tylko zapalono latarnie na ulicach, zebrałem się i poszedłem. Prawie mimowoli obrałem drogę ku cmentarzowi. Coś mnie tam pociągało, chociaż właściwie miałem ochotę zobaczyć się z Ellą Fulton i dowiedzieć, jak stoją jej sprawy.

Zimna to była noc i mało ludzi było na ulicach. Nie spotykałem po drodze nikogo. Dopiero w pobliżu samego cmentarza minąłem jednego przechodnia, zresztą w odległej tej alei byłem sam zupełnie. Wszystko to nastrajało mnie posępnie, pomimo to nie przyśpieszałem kroku. Brama cmentarna była zamknięta. Spodziewałem się tego, ale nie potrzebowałem wchodzić do środka, żeby móc widzieć grób Adeli. Grobowiec Cumberlandów zajmował miejsce w pobliżu ogrodzenia, a ja chciałem tylko przejść tamtędy, spojrzeć i westchnąć za duszę Adeli. Podszedłszy jednak bliżej, stanąłem. Ktoś, jakiś człowiek, którego nie mogłem rozpoznać z oddali, wyprzedził mnie już. Choć noc była ciemna, rozprószone latarnie dawały dość światła, bym mógł rozróżnić postać, przyciśniętą do żelaznych sztachet, zapatrzoną w ten właśnie grób, który i ja również przyszedłem odwiedzić. Stał tak cicho i bez ruchu, że ja, stojąc również cicho i bez ruchu, słyszałem, jak wzdychał ciężko i boleśnie.

Żal, głębszy żal, niż ten, który ja czułem, wypowiadał się w tych westchnieniach. Ktoś tak opłakiwał Adelę, jak ja pomimo wyrzutów sumienia opłakiwać jej nie mogłem...

A ja nie wiedziałem, kim jest ten człowiek.

Czy to nie dziwne, bardzo dziwne?

Już chciałem ruszyć się, podejść i przekonać, kto może być tym człowiekiem nieznanym, gdy nagle zaszło coś, co przykuło mnie do miejsca. Stałem w ten sposób pod latarnią uliczną, że cień mój padał prosto przedemnie, na śnieg. Nie zważałem na to dotąd, ale teraz, w chwili, gdy się miałem poruszyć, spojrzałem w dół i ujrzałem dwa cienie tam, gdzie powinien był być tylko jeden.

Ponieważ niczyich kroków nie słyszałem za sobą, dziwnego na razie doznałem wrażenia. Nie był to jednak strach. Cień ten był nieruchomy, podobnie jak mój. Obejrzałem się.

Za moimi plecami stał jakiś mężczyzna i nie na mnie on patrzył, ale na tego, który stał przed nami. Ciche „pst“ zabrzmiało tuż przy mojem uchu. Stałem bez ruchu. Ale chwilę tylko. Człowiek pod sztachetami, przestrzeżony może mojem poruszeniem się, odwrócił się, a widząc nasze dwie postacie, zerwał się i uciekł w przeciwnym kierunku. Instynktowanie rzuciłem się w pościg za nim, ale ów mężczyzna poza mną wyprzedził mnie niebawem.

Zwolniłem więc kroku. Poznałem bowiem w przebiegającym Sweetwatera, detektywa, i dobrze wiedziałem, że on lepiej to zrobi odemnie. Przyrachowałem się jednakże. Dobiegł on tylko do tego miejsca, gdzie tamten stał poprzednio. Gdy zaś, zdziwiony, zbliżyłem się do niego, zwrócił się ku mnie najzupełniej naturalnie i, witając mnie po nazwisku, zauważył swobodnie i poprostu:

— Nie potrzebujemy męczyć się, goniąc tego człowieka. Ja znam go bardzo dobrze.

— A więc kto? — zacząłem.

Zagadkowy uśmiech był całą odpowiedzią. Światło padało teraz na nasze twarze i ja doskonale mogłem widzieć jego twarz. Wyraz tej twarzy rozbroił mnie zupełnie. Zrozumiałem jednakże, chociaż nie rzekł nic, że nie mogę się spodziewać innej odpowiedzi na moje przez pół sformułowane pytanie.

— Czy pan wraca do miasta? — zapytał, gdym, przystanąwszy, popatrzył na parasol, który trzymał w ręku. Byłem pewien, że nie miał tego parasola, gdy przebiegał koło mnie. — A jeżeli tak, czy pan pozwoli, żebym panu ten kawałek drogi towarzyszył?

Nie mogłem mu odmówić, a zresztą nawet nie miałem ochoty odmawiać. Jakkolwiek niepozorny był to człowiek, miał w głosie swoim i w obejściu coś pociągającego i ujmującego, co nawet na mnie, tak wybrednego, działało. Czułem, że chętniej z nim, niż z kimkolwiek innym pogadałbym w tej chwili. Naturalnie grała tu także rolę ciekawość i ta współność zainteresowania, najsilniejszy węzeł, jaki łączy ludzi.

— Bardzo mi miło będzie — odpowiedziałem i znowu spojrzałem na ów parasol.

— Ciekaw pan jest, skąd ja to wziąłem? — rzekł, spojrzawszy nań także. — Znalazłem ten parasol pod ogrodzeniem, był tam oparty. Ten parasol daje mi potrzebny ślad, ślad wiodący do odnalezienia naszego szybkonogiego przyjaciela. Panie Ranelagh, czy uwierzy mi pan, że pytać będę w dobrej intencyi, jeżeli postawię parę pytań, na które, wedle woli, zechce pan odpowiedzieć lub zbyć je milczeniem?

— Niech się pan pyta, o co pan zechce — odpowiedziałem. — Nie potrzebuję niczego ukrywać od chwili, kiedy miss Cumberland wyjaśniła okoliczności bytności swojej pod „Szumiącemi Sosnami“.

— Ach tak!

Wymowny był ten wykrzyknik. Wymownem także następujące po nim milczenie. Bez wyraźnego powodu może poczułem, że jakoś lżej zrobiło mi się na sercu. Czyż mogło być, by ten człowiek był dla mnie życzliwy?

— Może pan za bardzo niewłaściwe będzie uważał to pytanie, które ja panu zamierzam stawić — zaczął. — Niech mi będzie wolno wyrazić przedewszystkiem moje przekonanie. Pan nie powiedział wszystkiego tego, co pan wiedział... o tem mianowicie, co się działo owego wieczora?...

Nie potrzebowałem na to odpowiadać.

— Mogę zrozumieć pańską powściągliwość, jeśli pan wiedział o heroicznym czynie miss Cumberland i o tem, w jaki sposób siostra jej śmierć poniosła.

— Ale ja nie wiedziałem o tem — zapewniłem z umyślnym naciskiem. — Nie wiedziałem ani o jednem ani o drugiem. Ja przybyłem później. Dopiero zeznania miss Cumberland wyjaśniły mi te okoliczności. Ale ja to wiedziałem, że obie siostry były tam razem, gdyż ujrzałem twarz młodszej, gdy wychodziła z domu.

— A więc pan ją widział. I gotów pan jest zeznać to teraz?

— Z pewnością. Ale świadectwo tego rodzaju obchodzi obronę, a pan przecież stoi po stronie prokuratoryi. Mr. Moffet powinienby mówić ze mną.

— Czy on wie o tem?

— Tak jest.

— Kto mu o tem powiedział?

— Ja sam.

— Pan?

— Tak, to było moim obowiązkiem.

— Więc panu zależy na tem, ażeby młody Cumberland został uwolniony?

— Konieczinie, on jest niewinny.

Obrócił się ku mnie, obrzucił mnie spojrzeniem, które ja spokojnie wytrzymałem, a potem szedł równo ze mną, milczący, rozmyślając, jak się zdawało, bardzo poważnie. Dopiero po dłuższym czasie postawił swoje pytanie. Sam zresztą nie wiem, czy to właśnie, które pierwej miał na myśli.

— Panie Ranelagh, niech mi pan powie, dlaczego, znalazłszy się w tak przykrej ostateczności, będąc aresztowanym pod zarzutem zbrodni na mocy takich poszlak, że potrzebował pan udowadniać za wszelką cenę swoją niewinność, dlaczego przemilczał pan fakt, o którym pan wiedział, że zdejmie z pana obciążające pozory? Ja rozumiem, dlaczego pan Cumberland tak za nic nie chciał mówić o obecności młodszej swej siostry w domu klubowym owego wieczora; ale jego powody, to nie są pańskie powody. A jednak równie uparcie zaciął się pan pod tym względem, jak i on.

W tej chwili pożałowałem lekkomyślnej mojej obietnicy, że będę szczerym z tym człowiekiem. Niepodobieństwem było odpowiedzieć, ale i milczenie może być wyznaniem. Zakłopotany spojrzałem na niego, a w tej chwili jasne światło latarni padło nam prosto w oczy. Spotkałem się z jego wzrokiem i zadziwiła mnie zmiana w wyrazie jego twarzy.

— Niech pan nie odpowiada — szepnął — nie potrzeba. Rozumiem teraz całą sytuacyę, ale pan nigdy nie pożałuje, że spotkał pan Kaleba Sweetwatera dzisiaj na spacerze. Czy mi pan zaufa? Detektyw, który swój zawód kocha, nie jest plotkarzem. Pańska tajemnica tak jest bezpieczną u mnie, jak gdybyś pan ją w grobie pochował.

— A jednak ja przecież nic nie powiedziałem!

Miał już iść, ale zatrzymał się jeszcze i dorzucił z mądrym uśmiechem:

— Spędziłem raz kilka minut w pokoju miss Karmeli Cumberland i widziałem tam szafkę oszkloną, której znaczenie trudno mi było zrozumieć. Później jednak wytłómaczyłem sobie jej przeznaczenie. Nie miałem spokoju, dopóki sobie z tego nie zdałem sprawy.

W chwilę potem już znikł za narożnikiem ulicy. To było zdarzenie wieczoru dnia tego.

XXXIII.

ŚMIERTELNA STRZAŁA.

Pierwszem spojrzeniem nazajutrz, znalazłszy się w sali sądowej, szukałem Karmeli i detektywa Sweetwatera. Dojrzeć ich jednak nie mogłem. Ella za to przyszła, wsparta na ramieniu ojca, za nią szła wyprostowana postać jej dumnej matki. Wejście oskarżonego oderwało mnie od obserwacyi wszystkich innych, tam obecnych. Zmiana w nim zaszła tak widoczna, że uderzyła mnie odrazu. Uderzyła też widocznie oczy wszystkich i wcale się też nie zadziwiłem, gdy zobaczyłem, z jakim rozpogodzonym, prawie rozjaśnionym wyrazem twarzy zajął swoje miejsce, z uśmiechem witając swojego obrońcę. Był to bodaj że pierwszy uśmiech, który od śmierci siostry na twarzy jego widziałem.

Obrońcy już wpierw zdążyłem się przypatrzeć. I ten był pogodny, ale panował nad swoim dobrym humorem. Zadania swego jeszcze nie ukończył, a surowa, nachmurzona mina prokuratora i skupiony, poważny wyraz twarzy przysięgłych zapowiadały, że zadanie to tak znów bardzo łatwem nie będzie.

Woźny obwieścił otwarcie posiedzenia, a obrońca zaczął od wezwania Elli Fulton na ławę świadków.

Nie potrzebuję zatrzymywać się nad jej zeznaniem. Krótkie ono było i zawierało jedną tylko niespodziankę. Zeznała mianowicie, że czuwała, czekając powrotu Artura przez całą ową noc i pewną była, że nie przeszedł przez ich ogród powtórnie, przeszedłszy tamtędy wcześniej z wieczora. Tego się właśnie po jej zeznaniach spodziewałem.

Tu prokurator przypomniał, że padał wtedy śnieg; przepytywana co do tego, przyznała, że śnieg padał bardzo gęsty, tak gęsty, że aż trudno jej było dojrzeć własną bramę, dodała jednak, że skutkiem tego tem pewniejszą jest tego, co mówi, gdyż spostrzegłszy, że źle widzi, ubrała się odpowiednio i wyszła aż na drogę, by tam czuwać i wyglądać. I w ten sposób czekała na drodze, aż usłyszała, że miejski zegar bije trzecią.

To zeznanie nie wyszło bynajmniej na korzyść oskarżenia. Sympatyę ogólną wzbudziła ta młoda, drżąca dziewczyna, pełna poświęcenia w miłości, choć tak słaba skądinąd. Gdy zaś, skończywszy, rzuciła przelotne spojrzenie na tego człowieka, dla którego zrobiła ofiarę ze swej dumy, a wyczytawszy w oczach jego więcej niż samą wdzięczność, zarumieniła się zakłopotana — widzowie tak głośny wyraz dali swoim uczuciom, że aż przewodniczący musiał uspakajać salę.

Dopiero po chwili wezwano następnego świadka. Tym świadkiem był ni mniej ni więcej, tylko sam Artur znowu.

Obrońca, wezwawszy go powtórnie, przypomniał mu, że zeznał poprzednio, iż spiesznie uciekał z domu klubowego, ponieważ usłyszał głos siostry swej, Adeli. Zapytał go teraz, czy tylko jej głos słyszał.

Odpowiedź jego pozwoliła zajrzeć w tajemny głąb jego duszy.

— Nie, słyszałem też głos Karmeli, odpowiadającej jej.

Poprzestał na tem mr. Moffet.

Teraz mr. Fox zaczął go przepytywać.

— Słyszałeś pan obydwie siostry rozmawiające?

— Tak jest, obydwie.

— Czy słowa pan słyszał, czy tylko głosy sióstr?

— Jedno słowo usłyszałem.

— Jakie słowo mianowicie?

— Imię „Elwood".

— Czyim głosem wymówione?

— Głosem siostry mojej Adeli.

— I uciekłeś pan?

— Natychmiast.

— Zostawiając siostry same w tym zimnym, opustoszałym domu?

— Ja myślałem, że one nie są same.

— Któż, jak pan sądzi, mógł być z niemi?

— Już przedtem powiedziałem, kto.

— I zostawiłeś je pan w ten sposób?

— Tak! Ja to już wytłómaczyłem. Spełniłem brzydki uczynek. Wstydziłem się Adeli i bałem się, żeby mnie na tem nie przyłapała. Wolałem uciekać. Nie przewidywałem tragicznego zajścia, takiego tragicznego zajścia... Nie rozumiałem, co się dzieje w duszy moich sióstr i zajęty byłem tylko sobą.

— Czy się pan wogóle nie zastanawiał nad tem, dlaczego obie tam są?

— Nie, wtedy nie.

— Czy pan się spodziewał, że Adela towarzyszyć będzie młodszej siostrze, gdy pan dla niej konia zaprzęgał?

— Nie, panie.

— Czy nadto młodsza siostra nie prosiła pana o dochowanie tajemnicy wtedy, gdy prosiła o zaprzężenie dla niej konia?

— Tak jest, prosiła.

— A mimo to, usłyszawszy głosy obydwu w tym odległym budynku, nie zdziwił się pan tem wcale?

— Owszem, zapewne zdziwiłem się, ale nie miałem czasu na rozstrząsanie własnych wrażeń. Później dopiero obracałem to w myśli i starałem się całą tę rzecz sobie wytłómaczyć. Ale to dopiero wtedy, kiedy już byłem daleko, na terenach golfowych.



Zakłopotany spojrzałem na niego.

Wszystko to nie prowadziło do celu. Prokurator z pewnością to czuł, ale choć człowiek to był uczciwy, uparty był i wytrzymały i nie lubił puszczać podsądnego, dopóki ława ostatecznego wyroku nie ogłosiła.

— Ma pan prawo tłómaczyć się jak najdokładniej — rzekł po chwili walki pomiędzy poczuciem sprawiedliwości a ambicyą zawodową. — Wtedy, gdy pan myślał o siostrach, jakżeż pan sobie tłómaczyłeś to wszystko, co się działo?

— Ponieważ nie miałem pojęcia o prawdzie, zadowoliłem się więc przypuszczeniem, że Adela odkryła zamiar Karmeli pojechania do miasta i że się z nią razem zabrała. A teraz sprzeczają się, myślałem, i wyjaśniają cały zatarg w obecności człowieka, który był przyczyną całej tej pomiędzy niemi rozterki.

— I w tych warunkach opuściłeś je pan?

— Tak jest, panie prokuratorze, choć nie bez wewnętrznej walki. Kilka razy ciągnęło mnie coś z powrotem. Ja już to przedtem zeznałem.

— Czy to wahanie się, ta walka, mogły trwać czterdzieści minut?

— Widocznie, a nawet prawdopodobnie jeszcze dłużej, skoro wszedłem do zajazdu na Cuthbert Road o tej godzinie, jaką podali.

Mr. Fox skończył badanie, a ja teraz spodziewałem się, że mnie wezwą. Jednakże nie leżało widać w zamiarach Moffeta osłabiać wrażenie zeznań Karmeli słabem poparciem faktów, którym nikt nie myślał przeczyć. Rad, że dał przysięgłym sposobność ukazania, jak swobodnym i męsko siebie pewnym jest jego klient obecnie, ten sam, który tak ponurą i zgnębioną miał minę, dopóki nie był pewnym, w jakim stosunku Karmela pozostawała do zbrodni, mr. Moffet zamknął listę świadków.

Nie zgłoszono żadnych nowych świadków dowodowych i sąd ustąpił ze sali. Gdy zebrał się ponownie, niespokojnym wzrokiem rozejrzałem się dokoła. Ani śladu Karmeli, ani śladu Sweetwatera. Jej nieobecność mogłem zrozumieć, ale nie rozumiałem jego nieobecności i z wielkim zamętem uczuć spojrzałem na Moffeta, gotując się do wysłuchania obrony.

Nie chciałbym za bardzo wysuwać swojej osoby, gdy opowiadam o procesie drugiego oskarżonego o zabójstwo mojej narzeczonej. Gdy jednakże po dłuższej chwili oczekiwania obrońca podniósł się zwolna i wysoką swoją postać wyprostował z godnością i powagą, jak ani razu dotąd przez czas całego postępowania, poczułem nagle chłód i dziwny dreszcz. Odczuwając taki nagły dreszcz, ludzie zwykli mawiać: „Ktoś przeszedł po moim grobie".

Nie, iżby był spojrzał w moją stronę, nie, on tego nie uczynił; a jednak przeleciało od niego ku mnie jakby wieść tajna, jakby przeczucie albo ostrzeżenie, jednem słowem coś, co mi kazało gotować się na coś niedobrego, co mowa jego przyniesie. Zgnębiło mnie to na chwilę, lecz wnet duch skrzepił się we mnie, jak to bywa, gdy człowiek niewinny zbiera siły ku odparciu niebezpieczeństwa. I postanowiłem nie myśleć o sobie. Życie Artura i przyszłość Karmeli ważyły się na szali. Ją kochałem, nad nim litowałem się przecież...

W tej chwili doleciały mnie słowa, wygłaszane powolnie tym nieco podniesionym głosem, jakiego zwykł używać mr. Moffet w swoich przemówieniach:

„Wysoki Sądzie i panowie przysięgli!"

Zaczął od tego, że podziękował prokuratorowi za tę dyskrecyę, z jaką, z prowadzenia badań sądząc, nie zamierza wyciągać fałszywych wniosków z częstych przemilczeń i nie zawsze powolnej postawy jego klienta. Gdyż w istocie zachowanie podsądnego da się jedynie słusznie tłómaczyć tem, że jako brat, pragnął zataić udział młodszej siostry w tragedyi, której szczegółów nie znał; płynęło to zaś stąd, że mylne sobie wytworzył wyobrażenie o roli, jaką w tem wszystkiem też siostra odegrała.

„Nie potrzebuję tedy — mówił — podkreślać i względności waszej, panowie, polecać tych chwalebnych pobudek, które spowodowały niejedno zawahanie się i niejedno przemilczenie mojego kienta, co w innych okolicznościach mogłoby przeciwko niemu przemawiać. Każdy, kto ma uczucie w sercu, a poczucie honoru w duszy, zrozumie, dlaczego ten człowiek wzbraniał się przed rewelacyami, któreby mogły narażać honor, jeśli już nie życie, młodej i pięknej siostry, ostatniego pozostałego członka zacnej i szanowanej rodziny, tak zaszczytnie w naszem mieście znanej.

Troska o kogoś, kogo się kocha, cuda zdziałać potrafi nawet w kimś, o kim dotąd słyszało się jako o człowieku lekkomyślnym, raczej samolubnym i nie bardzo tkliwym bracie. Ta troska pobudza do ofiar i poświęcenia, byle módz osłonić osobę ukochaną, a tak zagrożoną jego mniemaniem.

Zastanówmy się jeszcze nad przebiegiem całej tej sprawy. Starajmy się oddzielić, o ile się to da, to, co on wiedział, od tego, co my teraz wiemy o tem, co się działo w klubie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Walka z bandytami w Łodzi.

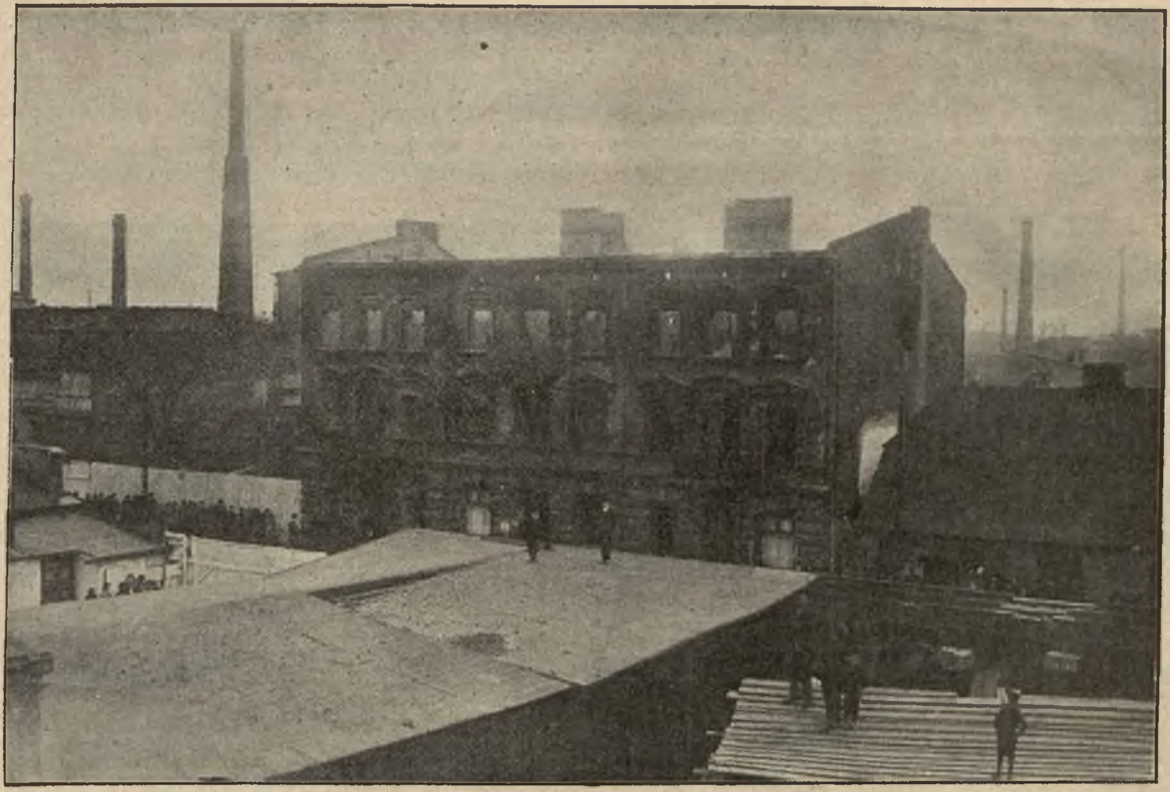
Od dłuższego czasu postrachem Łodzi i okolicy całej była szajka bandycka, na której czele stał głośny ze swych niesłychanie śmiałych i czelnych napadów Dłużniewski. Cały szereg ostatnich napadów, których ofiarą padły kasy kolejowe i pocztowe, był sprawką tej właśnie szajki. Policya i żandarmerya wiedziały o tem, mimo jednak wszelkich wysiłków nie mogły ująć ani Dłużniewskiego, ani innych członków bandy, wszyscy oni bowiem, uzbrojeni zawsze w najlepszej jakości broń, umieli bardzo zgrabnie unikać pościgu, nie wahając się w danym razie strzałami torować sobie drogę.

Mimo to policya nie ustawała ani na chwilę w śledzeniu zuchwałej szajki, aż w nocy z soboty na niedzielę wielkanocną udało się jej otoczyć grono najniebezpieczniejszych rzezimieszków z Dłużniewskim na czele i zgładzić. Przy tej sposobności rozwinęła się formalna bitwa, przypominająca żywo podobny wypadek w Londynie.

Szczegóły tego sensacyjnego wypadku przedstawiają się w następujący sposób. W nocy w sobotę otrzymał naczelnik łódzkiej policyi śledczej wiadomość, iż w domu fabrycznym Silbersteina na rogu ul. Widzewskiej i Pustej przebywa czterech niebezpiecznych bandytów z Dłużniewskim na czele, przygotowujących w jednem z mieszkań sute „święcone". Otrzymawszy taką wiadomość, zmobilizował naczelnik kilka silnych oddziałów policyantów, uzbrojonych w karabiny i mauzery, poczem otoczył dom wspomniany. W przekonaniu, że bandyci będą się bronić do ostatka, policya poleciła wszystkim mieszkańcom domu opuścić mieszkania, poczem wezwała bandytów do poddania się. Ci oczywiście odmówili, wobec czego wywiązała się walka, gdyż policya postanowiła dostać rzezimieszków za wszelką cenę w swe ręce, ci zaś, wiedząc, że czeka ich kara śmierci, bronili się z rozpaczliwym uporem. Strzelanina obustronna trwała aż do południa w niedzielę. Widząc, że obrona dalsza nie prowadzi do celu, że zdobycie domu przez policyę jest kwestyą kilku jeszcze chwil, bandyci podpalili mieszkanie, stanowiące ich kryjówkę, równocześnie zaś strzałami z browningów trzej z nich, mianowicie Dłużniewski, Siwek i Jaszek, pozbawili się życia. Jeden tylko z nich, niejaki Słabosz, spróbował jeszcze szczęścia w ucieczce i z kasetką żelazną w jednej ręce a brauningiem w drugiej, wyskoczył przez okno, został jednak strzałami policyi zraniony i ujęty. Przewieziony do szpitala, zmarł tam po kilku godzinach, złożywszy jednak przedtem zeznania.

Tymczasem ponieważ strzały wewnątrz oblężonego domu ucichły, straż pożarna przystąpiła do gaszenia pożaru, co też się po paru godzinach udało a wówczas policya wkroczyła do zdemolowanej pożarem i strzałami kryjówki bandytów. Znaleziono tam zwęglone trupy trzech bandytów, masę broni i nabojów.

Wiadomość o oblężeniu bandytów wywołała w całej Łodzi ogromne wrażenie, to też tłumy mieszkańców przyglądały się z oddali zapasom policyi z bandytami.



Walka z bandytami w Łodzi: Widok domu w Łodzi, gdzie zgładzono bandytów.



Walka z bandytami w Łodzi: Zwłoki bandyty Słabosza.

Mieszkańcy domu, w którym bandyci się schronili, wyszli wszyscy cało, tak samo jak oblegająca policya, jednak mienie ich uległo zupełnemu zniszczeniu, gdyż pożar zamienił cały dom w perzynę.

Akt chrześcijańskiej pokory.

Powszechnie znany jest ustęp z Pisma św. opowiadający o tem, jak Chrystus przed ostatnią wieczerzą obmył nogi apostołom. Pamiątka tego zachowała się w kościele w tej formie, że w wielki czwartek każdy biskup myje nogi dwunastu ubogim starcom. Zachowała się również w hiszpańskim ceremoniale dworskim.

Ceremoniał ten słynie jako nadzwyczaj uroczysty i pompatyczny. To też niezmiernie ciekawy jest w nim przebieg aktu, mającego łączyć drobiazgowe przepisy należnej królowi czołobitności z posuniętą do ostatecznego zaparcia się chrześcijańską pokorą.

Tego roku królowa Wiktorya po raz pierwszy wzięła udział w myciu nóg żebrakom. Odbyło się to w sposób następujący:

W sali kolumnowej madryckiego pałacu ustawiono dwa stoły. Na każdym umieszczono po 12 nakryć. Plecami obróceni do stołów siedzieli ubodzy starcy i ubogie staruszki. Przed nimi stały miednice, naczynia z wodą i leżały ręczniki. Weszła para królewska w otoczeniu świty i grandów hiszpańskich z żonami. Tren sukni królowej Wiktoryi niósł wielki szambelan, król wspierał się na ramieniu mayordoma. Na dany przez tego ostatniego znak



Walka z bandytami w Łodzi: Spalone zwłoki dwu bandytów, znalezione po ugaszeniu pożaru w oblężonym domu.

grandowie i ich żony uklękli i rozzuli nędzarzy, następnie zaś polali im nogi wodą, a król i królowa wycierali je; król całował żebraków po wykonaniu tego, ale królowa nie całowała żebraczek. Na zakończenie napełniono talerze jedzeniem i podano je nędzarzom, którzy zapewne mocno żałowali, że ceremonia nie odbywa się w dzień wolny od postu, a arcybiskup rozdzielił między nich zapomogi.

Illustracya nasza przedstawia królową Wiktoryę myjącą nogi żebrakom.



Akt chrześcijańskiej pokory: Królowa hiszpańska myje w wielki czwartek nogi żebraczkom.

Wycieczka uczniów na Krym.

W jednym z ostatnich numerów z okazyi wycieczki uczniów szkoły wydziałowej Kordeckiego we Lwowie do Wiednia i Pragi w paru słowach scharakteryzowaliśmy doniosłość podobnych wycieczek dla wychowania młodzieży. Również wykazaliśmy, że dla poziomu naszego szkolnictwa bardzo pomyślną byłoby rzeczą, aby wycieczek takich było jak najwięcej. To też będziemy je z zadowoleniem i uznaniem notować i podawać do wiadomości ogółu.

Wspomniana wycieczka miała na celu zwiedzenie dwu wielkich miast, a zatem dawała uczestnikom możność zaznajomienia się ze zdobyczami kultury i sztuki. Ich poznawanie stanowi niewątpliwie ważny czynnik w wychowaniu. Ale nie należy za pominać, że równie cenne dla młodocianych serc i umysłów jest odczucie piękności natury, zżycie się z niemi, uczynienie z niej niejako osobistej własności jednostek. Dlatego równą, jeżeli nie większą wartość pedagogiczną przyznać należy wycieczkom do miejscowości, odznaczających się nie tyle wysoką cywilizacyą i skarbami sztuki, ile cudami przyrody.

I z tej dziedziny mamy do wymienienia fakt pocieszający. Staraniem grona nauczycielskiego III. gimnazyum we Lwowie i za zezwoleniem rady szkolnej wyruszyła przed paru dniami wycieczka uczniów na Krym południowy. W przeciągu dni 17 zwiedzą uczniowie piechotą, podwodami, statkami parowymi i kolejami znane z cudownych widoków okolice, które niegdyś wywoływały zachwyt największego z poetów polskich, budząc w nim natchnienie do wspaniałego cyklu sonetów, który był i jest chlubą liryki naszej.

Kierownikami wycieczki są profesorowie III. gimnazyum Łabędziński i Łańcucki. Liczba biorących w niej udział gimnazyalistów wynosi dziesięciu. Załączone zdjęcie przedstawia ich grupę.



Wycieczka uczniów na Krym: Grono uczestników wycieczki z profesorami Łabędzińskim i Łańcuckim w pośrodku.

Z kroniki skandalicznej Paryża.

Czytelnicy gazet paryskich nie mogą się obecnie skarżyć na brak zajmujących wiadomości. Z prawdziwem przerażeniem czytają w nich Francuzi o coraz nowych skandalach, które wykryto w sferach politycznych i finansowych, a które rzucają nadzwyczaj smutne światło na panujące tam stosunki. Przed oczyma zdumionego czytelnika przesuwa się cała galerya postaci rozmaitych „rycerzy przemysłu“, wprowadzając go w prawdziwy kłopot, komu oddać palmę pierwszeństwa.

Ot, taki p. Maimon. Podobno urodził się jako żydek tarnopolski, ale ambicya i zdolności wyprowadziły go wprędce na szerszą arenę. Zrezygnowawszy z wysysania chłopów galicyjskich i zrujnowanych właścicieli ziemskich, został agentem dyplomatycznym, korespondentem londyńskich dzienników, osobistością mile widzianą w politycznych salonach kilku europejskich stolic. Aż przyszła kreska na Matyska, bo okazało się, że p. Maimon jest handlarzem en gros... dokumentów, że wybornie wystudyowawszy politykę międzynarodową, trudni się dostarczaniem różnym ministeryom spraw zagranicznych tajnej korespondencyi innych ministeryów spraw zagranicznych — i pewnego pięknego poranku spry-



Walka z bandytami w Łodzi: Wódz szajki, bandyta Edward Dłużniewski.

ciarz, „robiący w dokumentach dyplomatycznych", dostał się wraz ze wspólnikami do więzienia.

Albo spółka Hamon-Chedanne. Jeden z tych panów był dyrektorem departamentu w ministeryum spraw zewnętrznych i kierował budową ambasad i innych gmachów publicznych, drugi architektem, któremu powierzono budowę ambasady wiedeńskiej. Niedawno wyszło na jaw, że w porozumieniu z sobą okradli oni skarb rzeczypospolitej na sumę kilku milionów franków, przedstawiając do wypłaty dwu krotnie te same rachunki, wstawiając w nie fikcyjne pozycye i sprzedając dzieła sztuki, będące własnością państwa.

Inny sposób zarobkowania obrał sobie p. Rivier. Przed kilku miesiącami założył w Paryżu bank, do którego ściągał klientów szaloną reklamą, obiecując im złote góry. Interesy tego finansisty wydały się policyi nieco podejrzane, zaczęła je więc badać, ale Rivier nie był na tyle naiwny, ażeby czekać na wynik dochodzeń. Zniknął jak kamfora, pozostawiając 3 miliony pasywów, pustą kasę i — o sławny humorze francuski! — nominacyę na swego następcę dla jednego z urzędników firmy.



Aeroplanem z Paryża do Londynu: Awiator Piotr Prier.

Adwokatowi Valensi'emu nieszczególnie szła kancelarya. Wynalazł więc sobie inne zajęcie uboczne, mianowicie handel orderami i palmami akademickiemi. Jak wiadomo, jest to towar, na który we Francyi zawsze znaleść można popyt. Niestety Valensi nie był solidnym kupcem, gdyż często sprzedawał swym odbiorcom falsyfikaty. Jeden z nich dostał się w ręce władz sądowych i chluba palestry paryskiej dostała się w tych dniach pod klucz, a rozpoczęte śledztwo wykazało, że miał on kilku wspólników, których również uwięziono.

Niewątpliwie słynni panamiści obracali większymi kapitałami i imponowali tem, czem imponuje ze znajomością arkanów sztuki napisany dramat, to jest „jednością akcyi". Ale jeżeli zesumujemy te wszystkie skandale, ich doniosłość, rozgłos i szkodę, przez nie wyrządzoną, wynik co najmniej będzie równał się Panamie.

Zabawa dzieci w Podgórzu.

Ruchliwy wydział podgórskiego „Sokoła", na którego czele stoi obecnie znany artysta-malarz p. Wodzinowski, urządził w ubiegłą sobotę zabawę dla dzieci. Na program złożyły się deklamacye, żywe obrazy oraz przedstawienie amatorskie. Odegrano mianowicie dwuaktową sztuczkę, napisaną umyślnie dla młodocianych aktorów przez p. Gadomskiego, radnego miejskiego, p. t. „Krakowskie wesele".

Zajmująca treść, oraz doskonałe wykonanie zyskały ogólny poklask licznie zebranej publiczności, przedewszystkiem zaś dziatwy, która oklaskiwała z werwą grę swych rówieśników. Do ożywienia przedstawienia przyczyniły się w znacznej mierze udatne tańce, pod kierunkiem p. Dolińskiego.

W wykonaniu sztuczki p. Gadomskiego brały udział dzieci członków „Sokoła" oraz uczenice szkółki freblowskiej p. Mazurskiej.

Illustracya nasza przedstawia grupę młodziutkich amatorów na scenie sali „Sokoła" w Podgórzu.

Dwie wystawy.

Ruch artystyczny bije coraz żywszem tętnem we Lwowie. Wystawa podhalańska w salonach towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, wystawa wyrobów wschodnich, wystawa dzieł Pautscha, wreszcie wystawa artystyczna w Kole literacko-artystycznem, oto szereg ostatnich wypadków z dziedziny sztuki, dowodzących znacznego ożywienia ruchu artystycznego.

O dwu pierwszych wystawach pisaliśmy w po-



Dwie wystawy: Artysta malarz Fryderyk Pautsch z żoną.
(Fot. J. Jaworski, Lwów).



Zabawa dzieci w Podgórzu: Grupa dziatwy, która brała udział w przedstawieniu; 1. prezes „Sokoła" p. Wodzinowski; 2. kierowniczka szkółki freblowskiej p. Mazurska; 3. autor sztuki r. Stanisław Gadomski.



Dwie wystawy: Wnętrze sali koła artystyczno-literackiego, gdzie mieści się wystawa obrazów lwowskich malarzy.

przednich numerach „Nowości", obecnie należy poświęcić kilka uwag dwu dalszym, mianowicie wystawie dzieł Pautscha oraz wystawie w Kole literackiem.

Wystawę dzieł Pautscha przyjęto we Lwowie z ogromnym entuzyazmem, młody bowiem ten a niezwykle utalentowany artysta zdobył już sobie we Lwowie sławę jednego z najwybitniejszych dziś w Polsce przedstawicieli malarstwa. Dwieście płócien swoich rozwiesił Pautsch w salach pałacyku prof. Dunikowskiego przy ul. Mochnackiego. Są tam portrety, są pejsaże, są obrazy rodzajowe i kompozycye. Potężny rozmach wielkiego talentu, wysoka technika malarska, sympatyczne ujęcie wszystkich tematów, oto ogólnikowo i ryczałtowo wspomniane zalety obrazów Pautscha.

Otwarta w poniedziałek wielkanocny, cieszy się wystawa ta ogromnem powodzeniem, publiczność tłumnie dąży do pałacyku prof. Dunikowskiego, by nasycić oczy widokiem dzieł prawdziwego, szczerego talentu.

Duże zainteresowanie obudziła także wystawa artystyczna w Kole literackiem w pasażu Mikolascha. W sali Koła, udekorowanej cennymi dywanami wschodnimi, umieszczono kilkadziesiąt obrazów pędzla najwybitniejszych lwowskich artystów-malarzy. Są więc tam obrazy Batowskiego, Bratkowskiego, Chodzińskiego, Dulębianki, Harasimowicza, Janowskiego, Jarockiego, Pichora, Pietscha, Radziszewskiego, Reyznera, Rybkowskiego, Stefanowiczów ojca i syna itd.

Urządzeniem wystawy zajął się p. Bogdanowicz, artystyczne kierownictwo spoczywa w ręku pp. Harasimowicza, Janowskiego i Rybkowskiego.

Aeroplanem z Londynu do Paryża.

Dzienniki donoszą o nowem świetnem przedsięwzięciu z dziedziny żeglugi powietrznej, które udało się w zupełności i okryło chwałą jednego z młodych jej adeptów. Piotr Prier wzniósł się na monoplanie systemu Blériota w Hendon koło Londynu i nie lądując ani razu, przybył w 236 minut do Issy les-Moulineaux, miejscowości w departamencie Sekwany, znanej już w historyi awiatyki jako ulubiona stacya lotników. Przestrzeń przebyta przez Priera wynosi 250 mil ang. (około 375 km.). Jest on siódmym człowiekiem, który na maszynie powietrznej przeleciał ponad kanałem La Manche, na co wystarczył tym razem czas 16 minut.

Piotr Prier liczy lat 24, był inżynierem w paryskiej szkole elektrotechniki, a podczas swej dwuletniej służby wojskowej przydzielony został również do inżynieryi, mianowicie do oddziału aeroplanów, z którego wyniósł gruntowną znajomość żeglugi powietrznej i żądzę odznaczenia się na jej polu. Fotografię jego załączamy.



Pożar pod Lwowem: Ogólny widok miejsca pożaru. (Fot. M. Münz, Lwów).



Pożar pod Lwowem: Widok spalonego magazynu fabrycznego. (Fot. M. Münz, Lwów).

Pożar pod Lwowem.

Dzielnica Żółkiewska we Lwowie, a zwłaszcza przedmieście za rogatką Żółkiewską, najczęściej bywa nawiedzane pożarami. Jest to, zdaje się, następstwem tego, iż w stronie tej znajduje się najwięcej zakładów przemysłowych, gdzie o wybuch pożaru bardzo łatwo.

W ubiegłym tygodniu znowu wybuchł tam bardzo groźny ogień, który tylko dzięki usilnym staraniom straży pożarnych ze Lwowa i Zniesienia nie przybrał szerszych rozmiarów.

Ogień wybuchł z niewyjaśnionych na razie powodów w fabryce smarów i olejów maszynowych firmy Gottlieba i Mermelsteina, stamtąd zaś przeniósł się na znajdujący się w pobliżu skład drzewa Abrahama Wassersteina. Niebezpieczeństwo przeniesienia się ognia na dalsze zabudowania sąsiednich zakładów przemysłowych było bardzo groźne, zwłaszcza że zerwał się silny wiatr. Wysiłki straży nie były jednak bezskuteczne, dzięki czemu skończyło się na zniszczeniu tylko trzech zabudowań fabrycznych i magazynu, nadto ofiarą pożogi padło kilkanaście wagonów drzewa.

Szkoda wynosi kilkadziesiąt tysięcy koron a tylko w części była ubezpieczona.

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

26

Bemowi krew zakipiała w żyłach. Bez wahania mlasnął korbaczem po koniu i ruszył sam z ordynansem do Bukowskiego.

Szczęście pułkownikowi sprzyjało. Już na trzeciej wiorście serokomelskiej drogi spotkał szpicę litewsko-wołyńskiego legionu, wyprawionego na rekonesans przez Bukowskiego.

Rekonesansem dowodził stary major Wierzchlejski.

Bem doskoczył majora.

— Gdzie generał? Gdzie Bukowski!?

— Za tym folwarkiem, od strony Rudy, ciągnie do Serokomli...

— Bitwa przed wami, klęska, nieprzyjaciel uchodzi...

— Bukowski także!

— Jakto, do czarta?

— Od czterech godzin pan generał przysłuchuje się kanonadzie. I nie jej tylko. Płachowo rozbił mu pod bokiem konwój i tabor, co szedł z Kocka, zagarnął! Nic! Rekonesansami się obstawił, aby wiedzieć, czyli rychło ma nogi zbierać!...

— A major tu co?!

— A ja, mospanie, resztą zębów zgrzytam! Huncwot, nie generał! Dosyć mam psiapary!... Obwiesia!... Jechał sęk cały rekonesans! — Za mną! Naprzód!

Wierzchlejski dobył pałasza i swój półszwadronik powiódł ku włóczącym się w oddali szczątkom dymów bitewnych.

Bem pogalopował ku Rudzie, jeszcze ufając, że dość mu będzie do Bukowskiego dotrzeć, aby go skłonić do pościgu, do marszu na Rüdigera.

Pułkownik bowiem widział w tem ociąganiu się generała jedno z tych fatalnych nieporozumień, które najlepsze intencye marnuje, które umie być klątwą najczujniejszych planów. Domyślał się winy sztabu Jankowskiego, niedołęstwa dowódzcy wyprawy, ale nie wątpił o uczciwości Bukowskiego, o jego dobrej woli. Zgrzeszył niewątpliwie, lecz chyba zbytnią skrupulatnością, zbyt ślepem trzymaniem się rozkazów. Nie umiano mu przedstawić położenia. Stało się źle, źle bardzo. Atoli jeszcze nie stracono wszystkiego! Byle teraz Bukowski poszedł w tropy, byle napadł utrudzone bitwą wojsko, byle teraz Różycki, Milberg dźwignęli się, ha, to jeszcze Rüdiger cało nie ujdzie.

Za folwarkiem na drodze śród płoniących się zbóż, zaniebieszczyły się pasma ułańskich chorągiewek.

Pułkownik mocniej nacisnął konia i dosięgnął niebawem ociężale wlokących się szeregów. Jakiś oficer, zagadnięty przez Bema o generała, wskazał mu błyszczącą gromadkę jeźdźców, stojących pod karczmą przydrożną.

Bem zawrócił konia i w kilka chwil osadził go przed Bukowskim.

Pułkownik jednym tchem wyrzucił zwięzły raport o tem, co się stało pod Budziskami i imieniem Turny zażądał odsieczy.

Nalana, apatyczna twarz generała drgnęła. Bukowski wydął policzki.

— Generał Turno nie ma prawa wydawać mi rozkazów!

— Ależ, generale, tu nie o starszeństwo idzie, lecz o naprawienie, powetowanie klęski! — Rüdiger cofa się. Nasza dywizya zdziesiątkowana!

— Mam pod bokiem generała Płachowo...

— Dwa tysiące ludzi! — mruknął stojący obok adjutant — lecz bezsilnych, bo Różycki...

— Nie pytam kapitana o zdanie! — oburknął się generał.

— Wzięto nam kilkaset niewolnika, batalion strzelców zniesiony...

Bukowski zaparł swe matowe oczy na grzywie wierzchowca.

— Hm! To... należy do generała Turno! On odpowiada...

Bemowi wargi pobielały.

— I odpowiedział już, bo przez sześć godzin walczył z czterykroć silniejszym nieprzyjacielem.

— Winszuję mu chwały!

— Więc generał odmawia pościgu? Odmawia pomocy?!...

Przez chwilę słychać było jeno ponury, monotonny chrzęst i tupot maszerującej leniwie kawaleryi.

— Mam obowiązek trzymania się rozkazów... Ponieważ generał Milberg nie wystąpił na linię bojową...

— Więc generał wolisz rejterować! Wolisz zaprzepaścić zwycięstwo! Wolisz...

Bukowski posiniał.

— Jak pan śmiesz do mnie w podobny sposób przemawiać! Jak śmiesz!...

— A jak generał śmiesz dla prywaty...

— Milczeć do stu kul! — zapienił się Bukowski. — Subordynacya do milion! Ja tu rozkazuję! Aresztować każę!... Sądem polowym rozstrzelam!

Bem głowę wtulił w ramiona, zdało się, iż cuglami szarpnie i na generała się rzuci.

— Rozstrzelasz mnie, mości generale! — syknął groźnie. — Lecz pilnuj się, byś przedtem nie wisiał!!...

Bukowski ryknął z wściekłości i do adjutantów się zwrócił, aby wzięli pułkownika — lecz adjutanci niby pod ziemię się zapadli...

Bem powrócił do Turny drżący, wzburzony. Lecz tu czekała go cięższa, gorsza nowina od tej, którą wiózł, bo rozkaz cofania się do Okrzei! Więc rozkaz już nieodwołalnego pozostawienia Rüdigera w spokoju, co gorsze rozkaz, będący rzuceniem na łaskę losu Chrzanowskiego.

Turno ręce załamywał. Zielonka klął na czem świat stoi. Starszyzna oficerska pomstowała w głos.

Tego samego dnia, wieczorem, zaledwie generał Jankowski zdołał dobyć się z pojazdu przed karczmą w Okrzei — otoczył go tłum zwarty oficerów rozmaitych stopni, żądając, by prowadził wojsko na nieprzyjaciela, by zaniechał odwrotu.

Generał stęknął płaczliwie:

— Panowie! Z serca bym rad... Wymawiałem się zaszczytu dowodzenia... Rozkazy przyszły... Co robić — co robić!...

— Bitwy chcemy! — Na Rüdigera chcemy! — warknął ponuro tłum.

Jankowskiego febra naszła.

— Rada wojenna, panowie — bełkotał generał trzęsącemi się wargami. — Rada postanowiła! Toll przez Narew — więc musimy Warszawy... musimy... panowie!... Ja sam... pierwszy, krzyż oficerski legii nie za ten... nie za ten...

Tu głos Jankowskiemu uwiązł w gardle. Żółta, zeschnięta twarz generała przybrała barwę ziemi.

Ręce jego zaparły się kurczowo o paliki opłotków przedkarczemnych.

Przez chwilę słychać było ciężkie sapanie dowódzcy. Tłum milczał, jakby onieśmielony, rozbrojony niemocą, przygnębieniem generała.

Naraz śród oficerów zerwał się chropowaty głos.

— Precz z Bukowskim, precz ze zdrajcami!!

— Pod sąd polowy! — huknęli oficerowie. — Na szablach roznieść Bukowskiego!

Generał zatrząsł się.

— Bukowski pod moimi jest rozkazami... Ja odpowiadam — ja... tylko...

— Więc i jego pod sąd!

— Za dywizyę Turny! — Za wycięty w pień konwój taboru! — Smierć sprzedawczykom!

I tłum oficerów zwarł się, zachrzęściał pałaszami i dźwignął się pierścieniem ku generałowi.

Gdy nagle, na tyłach tłumu rozległo się groźne zawołanie:

— Ani kroku dalej! — Stać!!

Tłum zawahał się i obejrzał.

— Co to — kto!? — zaszemrał przeciągle.

— Bem — Bem!

Bem podczas wyrwał się z tłumu i Jankowskiego odeń odgrodził.

— Ani kroku dalej! — zakrzyknął z mocą.

— Sprawiedliwość musi być!!

— Więc nie gwałt! Dość na dziś było jednej hańby! Na miejsca, panowie! Do oddziałów!

Tłum zakołysał się niepewnie. Jeden ze sztabowców ujął generała pod ramię i powiódł w głąb karczmy.

Korpus Jankowskiego ruszył nazajutrz ku Wiśle i ruszył w takim nieładzie, w takiem rozprzężeniu, iż gdyby był Rüdiger nie cofnął się do Łęczny, gdyby, miast troszczyć się o Chrzanowskiego, poszedł w tropy za Jankowskim, niezawodny zgotowałby mu pogrom.

Jeden Turno bowiem wlókł w siakim takim ładzie niedobitki swej dywizyi i sznury wozów, wypełnione rannymi. Jeden Turno umiał skłonić oficerów do trzymania marszowego ordynku... Inni nawet nie próbowali kusić się o to...

Na drogach, wiodących do przeprawy pod Potyczą, wlokły się śród skwaru i obłoków pyłu kupy bezładne zmordowanego żołdactwa a hen, w dali, przed nimi pędziły na wyścigi pojazdy dowódzców, bryki sztabowców, kawalkaty adjutantów i oficerów.

A w ślady za ciżbą maruderstwa skradała się żółta, wykrzywiona szyderczo postać zarazy. I za każdą kroplę wody, za sok ożywczego owocu, za głód uciszony, za utulone pragnienie zbierała śmiertelną daninę. Żołnierze padali dziesiątkami. Padali, wili się w konwulsyach i stygli tam, gdzie ich powalało tchnienie cholery... A który jeno zatoczył się, ten idącym był już obcym, ten już z kompanii, szwadronu był wykreślonym na wieki. Podwajano kroku, byle dalej od tego, co pozostał, byle do Warszawy prędzej...

Do Warszawy pędził Skrzynecki, do Warszawy spieszył i Sierawski i Rybiński, do Warszawy dążyli i Milberg i Bukowski. Imieniem Warszawy całe uchodzące krzepiło się wojsko. Jakby Warszawa mogła im była dać odsiecz, jakby Warszawa była niezdobytą warownią, jakby nie oni byli jej obrońcami, lecz ona niezawodną ich tarczą.

Warszawa tymczasem drżała w posadach na wieść o bitwie pod Budziskami, na wieść o odwrocie Skrzyneckiego, o znów zmarnowanym planie wyprawy.

Pierwszym zwiastunem klęski był Prądzyński. On to z Siennicy wprost do Sejmu trafił z przedłożeniem dokumentu niedołęstwa naczelnego wodza. Rząd narodowy, Sejm nachmurzył się, choć jeszcze nie spodziewał się, by wróżby Prądzyńskiego tak okrutne miały znaleść potwierdzenie.

Aliści wraz ze Skrzyneckim przybył do Warszawy pierwszy goniec z pod Budzisk a za nim już w tropy jedna za drugą wieści coraz pełniejsze, coraz gorsze.

Towarzystwo patryotyczne uderzyło na alarm. Sejm piorunami łysnął. Rząd szukał winowajców. Cała stolica trzęsła się z oburzenia.

Skrzynecki atoli nie dał się zmóc. W odpowiedzi na oskarżenie Prądzyńskiego, oskarżył Jankowskiego i Bukowskiego.

Tak, bo wódz naczelny zgrzeszył tylko zbytkiem ostrożności. Prawda, dał się zwieść Tollowi demonstracyą, fortel, symulujący przeprawę, wziął za ruch ku Warszawie! Prawda, stokroć prawda! Jeno w tej prawdzie i dowód, że Toll zaniechał przeprawy dopiero po cofnięciu się Skrzyneckiego z Siennicy! A gdyby był został, gdyby był nie zważał na raport Skarzyńskiego — ha, tego Prądzyński nie dowiedzie, że Toll nie byłby Pragi zaatakował.

Winni!? Są winni! Jankowski nie wykonał planów. Bukowski nie pospieszył z pomocą Turnie. Milberg winien, sztab korpusu winien. I on, Skrzynecki, żąda kary na przestępców, śledztwa, sądu...

Deliberacye były krótkie. Postanowienie zapadło niebawem. I nietylko co do sprawców budziskiej klęski, lecz i co do winnych knowań z nieprzyjacielem.

XIII.

Był zmierzch pogodnego dnia czerwcowego. Pani Madejowa uwijała się za ladą swego sklepiku i niby to służyła gościom, niby to słuchała powiadań, że coś nielada stanie się, bo pod zamkiem gwardya narodowa strażuje — a w istocie coraz niespokojniej poglądała ku drzwiom wejściowym.

Aż nareszcie, kiedy już panią Madejową zupełna miała chwycić alteracya, drzwi stuknęły ociężale, do gospody wszedł Dziurbacki.

Pani Madejowa skoczyła niby piętnastolatek naprzeciw i nie bacząc na domyślne uśmiechy i półsłówka gości, zagarnęła profosa do izdebki i dopiero zagadnęła pospiesznie:

— I jakże, i cóż?

Dziurbacki za całą odpowiedź bęcnął furażerką o skrzynię i osunął się na stołek.

Baba pokiwała smutnie głową.

— I znów ani śladu?

— Ani - ani!

— Zagałuszyli biedactwo, psiawiary! — A cóże audytor?

— Powiada, że śledztwo skończone i tyla. Cydzik, jak kamień w wodę!

— A ten najgłówniejszy! Jego trzeba wypatrzeć! — Obaczycie!... Byle, byle sobie nie dopuszczajcie, panie Pietrze! — Na mszę do Panny Maryi dałam! A jakże! I dam jeszcze... bo kiedyżeśmy sobie obiecowali. — Przepijcie sobie pieprzanki! Na zdrowie.

Dziurbacki ledwie usta zamaczał. Pani Madejowa podsunęła mu miseczkę siadłego mleka i talerz kartofli.

— A słyszał pan Pietrz, że musi generałów będą strzelać...

Dziurbacki skrzywił się pobłażliwie.

— Tam, mospanie!

— I mnie się nie widzi! — podjęła politycznie pani Madejowa. — Ludziska gadają, co im ślina!... Gdzieżby generałów!

Profos cmoknął hałaśliwiej mleka z łyżki.

Baba skwapliwie chwyciła się tego dowodu niejakiego ożywienia się Dziurbackiego.

— Zwyczajnie prostactwo, nie rozumiejące się na wojskowych sprawach! Uch, bo i nie każdemu sądzono. A wie pan Pietrzuś — niech się źdźiebełko przysiądę — że już murarz stancyję obok wyprawia...

Dziurbacki zmilczał, jakby nie rozumiejąc przymówki. Baba pociągnęła smętnie nosem.

Naraz za drzwiami, wiodącemi do sklepiku, wszczął się zgiełk pomieszanych głosów. Madejowa zerwała się z miejsca. Lecz w tejże chwili do izdebki wpadła Kasia.

— Pani gospodyni...

— Rany boskie, co się stało?!...

— Generałów i zdrajców różnych prowadzą do więzienia na zamek!!

Dziurbacki porwał się z za stoła.

— Co zaś za banialuki, mospanie!

— Jako żywo!! Musi wieszać zaraz będą!!...

Profos chwycił za furażerkę i wypadł na rynek. Madejowa wionęła za nim spódnicami.

Stare Miasto wrzało od popłochu i zamętu. Jedni ryglowali co tchu sklepiki i uprzątali stragany, drudzy zbijali się w pomstujące gromady, trzeci pędzili ku wylotowi Swięto Jańskiej ulicy, inni od strony zamku biegli z nowinami.

Dziurbacki bez wahania podążył do placu króla Zygmunta. Pod katedrą atoli zagrodziła mu przejście zwarta ciżba ludu.

— Co tu, mospanowie!? — Co się dzieje?

— Smierć sprzedawczykom! Smierć generałom!

Profos szarpnął się.

— Puszczać! Ustąpić z drogi!

— Niema przechodu!

— Jakto niema!? Ustąp, pókim dobry, do stu par dyabłów!

Mieszczuchowie stropili się i zakołysali się niepewnie. Profos podał się naprzód łokciami i sekundowany pilnie przez Madejową, przedarł się na front ciżby, kędy u wyjścia na plac warta narodowej gwardyi trzymała kordon.

Stąd już bokiem w lewo wzdłuż kordonu, przedostał się ku murom zamkowym i uwiązł we wstędze zbitego pogłowia ludzkiego.

Pani Madejowa z właściwą sobie rezolutnością wnet z otaczającym ją tłumem bliższą zawarła komitywę i jęła rej wodzić. Dziurbacki o słup latarni się zaparł i poglądał apatycznie przed się.

Dokoła niego ścierały się racye, który z generałów winniejszy, dokoła niego toczyły się bezładne rozprawy o tem, który z dygnitarzów wart stryczka a który ołowianki — a profos stał bez ruchu pod latarnianym słupem, obojętny, głuchy na wzburzenie ciżby.

Zagadywała doń pani Madejowa, odzywali się sąsiedzi, Dziurbacki zmagał się i słowa dobyć z siebie nie mógł. Rozumiał jeno, że to, z czem tyle lat po świecie chodził, co za święte miał, wyrwano mu z pod serca i rzucono na sponiewieranie.

Aż raptem od strony Senatorskiej ulicy rozległ się ponury wrzask: jadą! — jadą!

Ciżba zakołysała się. Na skraju placu mignęły czerwone języki pochodni i jęły zdążać szybko ku bramie zamkowej.

Wrzask przeistoczył się w wycie zajadłe, wściekłością drżące.

— Smierć zdrajcom! — Na latarnię szpiegów! — Na szubienicę! — ryczała tłuszcza, napierając kordony gwardzistów.

— Ukamienować łotrów! — ryknął ktoś w tłumie.

— Ukamienować! — podjęły chrapliwe głosy...

Grad kamieni, kału, błota zaczął bluzgać ku korowodowi czerwonych języków.

Profos oczy rozwarł szeroko i poglądał. Nadciągające światła pochodni oślepiły go na mgnienie.

— Jankowski z Bukowskim! — pisnął mu dyszkant nad uchem.

Dziurbacki wzrok natężył. I oto pośród eskorty z głębi pojazdu zasrebrzyły się ku profosowi generalskie buliony i wychyliła twarz blada, zastygła w bolesnym skurczu.

Dziurbackiego dreszcz przeszedł.

Był to generał Jankowski!... Generał dywizyi, pierwszego strzelców konnych dowódzca... To on! Znał go, pamiętał... Z ósmym pułkiem piechoty w raszyński ogień pod Godebskim szedł...

Gruda błota śmignęła z ciżby i buliony generalskie Jankowskiego obryzgała...

Dziurbackiemu w oczach pociemniało. Zaparł się oburącz o latarnię i dyszał ciężko.

A tymczasem za pierwszą kawalkatą pędziła w głąb bramy zamkowej druga, trzecia, czwarta, piąta.

Za szóstą kawalkatą tłumy mocniej, przeciąglej zawyły, czem nietylko ocknęły profosa ale i jego towarzyszkę podnieciły do reszty.

— Nastąpcie się, panie Pietrze, niech kamienia wyrwę...

— Co waspani!?

— Szargule jadą!

— Kto!?

— Wywłoki szpiegowskie, kochanice, moskiewskie wygodniczki, jędze morowe!

— Nie waspani sąd!

— Aby się przyłożę! — wrzasnęła baba z pasyą i zawinąwszy się sprawnie, wydrapała gleń spieczonej ziemi i zamachnęła się, by nim rzucić w jasną główkę dziewczęcia, poglądającego wystraszonemi oczyma z eskortowanego wozu więźniów.



...I wskazał mu błyszczącą gromadkę jeźdźców.

Lecz w tejże chwili profos ryknął nieludzkim głosem i z rąk baby wytrącił groźny pocisk.

Madejowa zatoczyła się. Dziurbacki runął na kordon gwardzistów w stronę woza. Gwardziści murem się stawili. Wszczął się tumult i szamotanie. Profos potraktowany kolbami karabinów, zachwiał się i zaparł odrzucony o latarnię.

— Laboga, panie Pietrz! A wam co...

— Antoszka! — wybełkotał Dziurbacki.

— Gdzie, na wszystkich świętych!?

— Tam, na wozie!...

— Panno najsłodsza! Moiściewy, ze szpiegówkami! Na Zamek!

— A waspani w nią właśnie!

— Rozstąp się, ziemio!... Niby ta... ta... kędzierowata! Panie Nazareński! I toto niebożątko! Opatrzność Boska, toż bym w grobie spokoju nie miała!... I jakże ona między te — te!?... Przecież sprawiedliwość...

Dziurbacki kopnął z pasyą gleń ziemi, leżący tuż.

— Bełta ci się tu waspanina.

— Aby już pan Pietrz nie psuj sobie. Jeszcze ku dobremu wyjdzie. Znajomka mam na Zamku! Tyle przynajmniej, że jest... że wiadomo, kędy patrzeć, kędy ratować! Ale żeby drobiazg taki ze zdrajcami...

— Generałami, mospanie!

— Których na przeniewierstwie...

Dziurbacki nasrożył się.

— Generałowie — powiadam mospanie!

Baba zachłysnęła się z pomieszania i zaczęła tłómaczyć się profosowi, lecz słowa jej zagłuszył wzmagający się znów ryk tłumu.

Tym razem jakaś dzika, szalona wściekłość targnęła ludzkiem pogłowiem. Kordony gwardyi narodowej ostatkiem sił wytrzymywały napór fali, broniąc przystępu do posuwającego się ku Zamkowi pieszemu korowodowi straży.

Po dwakroć już wolny przestwór drogi zalała rozhukana ciżba, po dwakroć straż własnemi piersiami osłoniła prowadzonego więźnia.

— Hurtig! Hurtig! — wyły złowrogo tłumy. — Brać go! — Na latarnię kata! — Nie dać żywcem! — W sztuki rozszarpać! — Oprawca! — Łotr!

Gwardzistom mdlały ramiona od szamotania się z motłochem. Żołnierze i dowódzca konwoju słaniali się wyczerpani, ogłuszeni, oszołomieni.

Hurtig podczas szedł śmiało, z głową podniesioną, wyprostowany, hardy, zimny.

Znienawidzony komendant Zamościa, nieubłagany służbista-generał, sam do niedawna ponury więźniów dozorca, głuchy na jęki argus kazamat fortecznych — nie uronił nic ze stalowego wejrzenia, nic ze swej butnej postawy.

Grad kamieni, błota, przekleństw, obelg, plwociny bluzgał weń co kroku. Sznurek krwi, z okaleczonej pociskiem skroni, sączył mu się, spływał po twarzy ku haftom generalskiego kołnierza — a jego stosowany kapelusz precz górował nad szalejącą tłuszczą a jego potężne bary ani myślały się nagiąć.

Lecz ta hardość generała, miast uszanowanie wdrożyć, podnieciła motłoch, rozbestwiła.

Ciżba, hucząca w pobliżu Dziurbackiego, umilkła raptem, odstała od kordonów gwardyi, cofnęła się. I w chwili, gdy gwardziści uwolnieni od naporu, rozluźnili szeregi — uderzyła w nich z taką siłą, że łańcuch wojska prysnął na strzępy a za nim znikł korowód, eskortujący więźnia...

Stało się to tak szybko, tak niespodziewanie, że zanim oficerowie zdołali pomyśleć o obronie, o stawieniu czoła napastnikom, jeno piekielny tumult i kotłowanie się ciał ludzkich znaczyło miejsce, kędy nad Hurtigiem pieniła się wezbrana fala ciżby.

Podczas Dziurbacki z Madejową, uniesiony naporem, znalazł się w pobliżu miejsca ponurej rozprawy z komendantem Zamościa. Profosa żgnęło coś. W pierwszym odruchu chciał wyrwać się z objęć tłumu, ujść — gdy nagle jakiś rechocący drab podjął z ziemi wytrąconą żołnierzowi płonącą pochodnię i darł się z nią do generała.

— Dawać go! Niech przysmażę zbója!...

— Ognia — ognia! — zawyły głosy.

— Podać go tu!

— Żywcem!

Dwadzieścia zaciśniętych konwulsyjnie kiści zaparło się...

Ponad ludzkiem pogłowiem zakołysało się skrwawione, odarte do naga ciało Hurtiga.

Drab wyciągnął ramię z pochodnią, ale zanim sięgnął, jakieś potężne uderzenie pięści powaliło go na ziemię...

Tłuszcza warknęła strasznie i przeciwko obrońcy się zwróciła. Lecz ten ani myślał uchodzić z pola. Zbrojny nasęczonym dębczakiem parł naprzód, zadając okrutne razy, młócąc bez pardonu dokoła a torując sobie drogę do Hurtiga.

A nacierał tak zaciekle, tak srodze, że ciżba zaskowyczała i rozpadła się na wsze strony, pozostawiając Hurtiga u nóg jego obrońcy...

Ale to zwycięstwo było krótkiem. Motłoch bowiem, rozwarłszy wolną polankę i zoczywszy jednego zaledwie przeciwnika, zatrzymał się i parł zewsząd, by go pochłonąć...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Najmniejsze stworzenia na świecie.

Pośród wieczornych rozrywek wielkomiejskiej publiczności, wywalcza sobie obok teatru coraz większe prawo obywatelstwa varieté. Bez wątpienia nie posiada ono tego kształcącego i uszlachetniającego wpływu, jaki daje dobrze prowadzony teatr. Czyż jednak nie godzi się przypisać mu nawet wyższości nad źle prowadzoną, wystawiającą śliskie, niemoralne sztuki sceną, o ile program jego ułoży się umiejętnie a nadewszystko wykluczy się produkcye, obliczone na przemawianie do najniższych instynktów natury ludzkiej? W tym wypadku nie wahalibyśmy się oddać palmy pierszeństwa teatrzykowi rozmaitości. Daje bowiem godziwą rozrywkę ludziom, którzy po ciężkiej umysłowej pracy całodziennej muszą wytchnąć, muszą parę godzin spędzić poprostu bezmyślnie.

Program w tym duchu pojętego varieté wypełniają tedy popisy komików, produkcye gimnastyczne, koncerty na niezwykłych instrumentach, tańce i t. p. Do tego dodać należy dział osobliwości wszelkiego rodzaju.

Ciekawe okazy z tego rodzaju działu widzieć można obecnie w znanej „Venedig in Wien“. Oto kierownicy jej powzięli niedawno myśl założenia „miasta liliputów“, które zgromadzi najmniejsze istoty świata i werbują do niego mieszkańców, nabywają odpowiedniej wielkości zwierzęta domowe. Przedsięwzięcie idzie powoli, gdyż wymagania zarządu „Wenecyi“ są niezwykle — małe. Na razie ma on do rozporządzenia dopiero jednego karła i troje zwierząt.

Zajmująca ta grupa produkuje się co wieczór. W jej skład wchodzi przedewszystkiem karłowaty komik (czy komiczny karzeł), Wincenty Tarabula. 25-letni ten obywatel mierzy 99 cm. Obok niego widzimy osiołka „Ernesto“, pochodzącego z Sycylii, którego w przeciwieństwie do popularnego wyrażenia nazwaćby można pierwiastkiem z osła, gdyż wzrost jego wynosi tylko 70 cm. O parę tylko centymetrów wyższy jest karłowaty komik a już zupełnie na zabawkę dziecinną wygląda dwuletni capek „Peppo“. Zwierzątko to ma tylko 33 cm. wysokości.

Krótko mówiąc, widz czuje się przeniesionym do kraju znanego z pierwszej części podróży Gulliwera.

Pierwszy kongres muzyczno-pedagogiczny.

W ubiegłym tygodniu toczyły się w Wiedniu przez kilka dni obrady kongresu muzyczno-pedagogicznego. Celem kongresu było obmyślenie sposobów poprawy doli nauczycieli muzyki oraz wyższego ich wykształcenia.

Kongres wywołał w sferach interesowanych duże zajęcie, to też przybyło nań z samej Austryi przeszło 800 uczestników, z innych państw około 300. W pokaźnej wcale liczbie stawili się muzycy polscy, między innymi dyr. Żeleński, prof. Lalewicz, Baranowska, Haymanówna, Lipski i Wereszczyński z Krakowa, dyr. Sołtys, prof. Kurz, Walter, Głowacki, red. Baranowski ze Lwowa, wreszcie Bau z Tarnowa.



Najmniejsze stworzenia na świecie: Grupa produkująca się obecnie w „Wenedig in Wien“.

Uczestniczyli w kongresie przeważnie państwowi nauczyciele muzyki w szkołach średnich, seminaryach i szkołach ludowych, przedstawiciele konserwatoryów muzycznych, nadto liczny zastęp nauczycieli szkół prywatnych i samodzielnych prywatnych sił nauczycielskich.

Współudział muzyków polskich w obradach kongresu był bardzo pożądany, zwłaszcza że obrady i uchwały będą miały dla Galicyi duże i dodatnie znaczenie. Dotychczas zaś muzycy galicyjscy z dziwną obojętnością odnosili się do ogólno austryackiego ruchu muzycznego zawodowego i ze zdobyczy korporacyi austryackich nie mogli i nie umieli korzystać.

Zjazd rozpoczął obrady w czwartek w wielkiej sali Tow. muzycznego. Zebranych tam uczestników kongresu przywitał burmistrz Wiednia dr Neumayer, przedstawiciel ministerstwa oświaty radca sekcyjny v. Fesch i inni, poczem wybrano prezydyum zjazdu i przystąpiono do właściwych obrad.

Toczyły się one przez cztery dni, a owocem ich jest szereg rezolucyi i uchwał. Największe znaczenie będą miały uchwały kongresu dla nauczycieli państwowych, albowiem ministerstwo oświaty przyrzekło, iż w myśl wskazówek, podanych w czasie obrad kongresu, przeprowadzi gruntowną reformę istniejących stosunków, planów nauki muzyki i śpiewu, a to zarówno w szkołach średnich jak ludowych.

Obrady kongresu zamknięto w poniedziałek.



Pierwszy kongres muzyczno pedagogiczny: Uczestnicy kongresu, wśród nich liczne grono muzyków polskich z Galicyi.

Kronika tygodniowa.

Dobro narodu mając na względzie, zgłaszają się tłumnie do różnych komitetów kandydaci na posłów do Rady państwa. Gdyby sądzić po ich liczbie, to fakta zaprzeczają powszechnemu utyskiwaniu na brak ludzi. Owszem, jest hiperprodukcya, bo nawet gdyby kto prowadził spis dokładny działaczy narodowych i społecznych, znanych tak w Krakowie i Lwowie, jak na prowincyi, znalazłby w olbrzymim szeregu kandydatów parę setek nazwisk, z którymi pierwszy raz w życiu spotkaćby mu się przyszło. W dawniejszych, głupszych czasach był ten zwyczaj, że pan Filip (nie ten z konopi, ale inny) dał się naprzód poznać jako człowiek czynny i zdolny w różnych stowarzyszeniach i na innych polach pracy publicznej, później piastował mandat radnego miasta lub powiatu, następnie posłował do sejmu i dopiero jako *capacitas*, człowiek powszechnie znany, zostawał odkomenderowany na ważny posterunek w polskiem Kole wiedeńskiem. Szedł po stopniach w urzędach publicznych, tak jak się idzie po stopniach w wojsku, w urzędach państwowych lub krajowych. Dziś, za czasów mądrzejszych, ladajaki Filipek nie potrzebuje być zdolnym i czynnym, znanym i szanowanym, na jakiemkolwiek bądź polu zasłużonym — odrazu z prostego żołnierza może zostać jenerałem. Potrzeba mu do tego tylko odwagi, bezczelności i monety, którą czasem da się zastąpić sprytem agitacyjnym. A później, widząc w Kole mało zdrowego ziarna, a sporo plewy i kąkolu, zawodzimy wszyscy: aj, aj, jakie brzydkie to Koło polskie, aj, aj, jacy są w niem głupi lub brudni ludzie! Tak jakby to nie od nas zależało, tak jakby to oni sami siebie, a nie myśmy ich wybierali.

Za tych dawnych głupich czasów był również zwyczaj, że wyborcy schodzili się i zastanawiali nad tem, komuby powierzyć mandat, kto jest jego najgodniejszym. Był to system przestarzały, bo zmuszający ludzi do myślenia, a jak wiadomo nic tak zdrowiu nie szkodzi, jak myślenie. Dziś jesteśmy praktyczniejsi i zdrowsi, bo nie szukamy kandydatów, gdyż sami kandydaci do nas przychodzą i mówią: oto my najmądrzejsi. Tylko to bieda, jeżeli się kilku naraz o jeden mandat zgłosi. Każdemuby się chciało zrobić przyjemność (wszak to nic nie kosztuje, owszem, można nawet coś zyskać), ale mandat to nie melon, który można pokrajać na kawałki i kilku łaknących obdzielić. Gdyby się chociaż wiedziało z kogo będzie jaka taka pociecha. Ale tu ani rusz, jeżeli kandydaci są *homines novi*. Kaczej kłopot z tem, jak się oni piszą, bo jeden z nich powiedział wprawdzie swe nazwisko, ale nie wiadomo czy to jest Hołodowicz, czy Chołodowicz, czy może Hołotowicz; mówił też, że jest inspektorem, ale dyabli wiedzą jakim: czy szkolnym, czy drogowym, kolejowym czy przemysłowym, podatkowym czy gazowym, tytoniowym czy policyjnym, ogrodowym czy bydlęcym...

Oprócz kandydujących są jeszcze i kandydaci nie kandydujący. Pan Hilary jest w dobrych stosunkach z korespondentem z Pipidówki do *Słowa polskiego*, *Czasu*, lub innego zbiornika wiadomości złego i dobrego — więc prosi go: mój drogi, napisz, że ja kandyduję. — Jakto? na seryo? pyta korespondent. — Ależ, broń Boże, lecz co ci to szkodzi, że ludzie się o mnie dowiedzą, a ci, co mnie znają, pomyślą sobie: ho, ho! — I poczciwy korespondent pisze, że poważne grono wyborców nosi się z myślą postawienia kandydatury Hilarego. O Pankracym znów napisze dobrze z nim będący dziennikarz, że przybyła deputacya, aby go zaprosić do ubiegania się o mandat. Są znowu tacy, co zgłaszają, że mylną jest pogłoska o ich kandydaturze (a o tej pogłosce nikt nie słyszał), gdyż obowiązki zawodowe lub stosunki familijne nie pozwalają mu w tej chwili poświęcić się służbie publicznej. Są wreszcie i ludzie (i tych żałować należy) którzy ani kandydują, ani udają kandydatów, a tymczasem z najwyższem zdziwieniem wyczytują, że są kandydatami jakiegoś stronnictwa. I co zabawniejsza, zaraz w innym dzienniku znajdują wyrażenie powątpiewania w ich kandydatury, gdyż (pisze ów dziennik) „są to ludzie zbyt poważni, aby się dali użyć do takiej roboty". Powiedzenie to charakterystyczne i złośliwe... dla rzeczywistych kandydatów. W okręgu bowiem, o którym mowa, przeważają „niezbyt poważni" kandydaci, byłoby więc chyba miejsce dla „zbyt poważnych". Inny znowu dziennik o tych samych nie kandydujących powiada, że mają minimalne szanse — to prawda, bo nie kandydują. Ale gdyby kandydowali i każdy z nich posiadał poparcie 50,000 koron, jak to mają inni kandydaci, to mieliby szanse maksymalne.

Jeżeli wyrażam współczucie ludziom niewinnie posądzonym o zbrodnię kandydowania, to przy sposobności tem większe współczucie wyrazić muszę tym wybitnym mężom, którzy przed pół wiekiem położyli dla kraju poważne zasługi, a obecnie zginęli we wdzięcznej niepamięci. Nikt nas nie może posądzić, abyśmy nie lubili urządzać jubileusze. Pewne stowarzyszenie (nieraz, przyznajemy, wcale przyzwoite i zasłużone) żyje 25 lat na tym padole płaczu, a więc natychmiast fakt ten obchodzimy zjazdami, mówkami, obiadami. Ze zjazdami lub bez zjazdów, ale zawsze z obiadami i mówkami, czasem nawet z fundacyami, święcimy 50 tą rocznicę założenia instytucyi pożyczającej na weksle i hipoteki. Obchodzimy jubileusze towarzystw gospodarczych, asekuracyjnych, filantropijnych, kulturalnych — niema roku bez paru takich obchodów. Nic przeciwko temu mieć nie można — często w tych wypadkach oddajemy hołd prawdziwej zasłudze. Ale chyba każdy przyzna, że rocznice jubileuszowe faktów, które otworzyły dla kraju i społeczeństwa nową erę, faktów doniosłości historycznej — że te, powtarzam, jubileuszowe rocznice są chyba najważniejsze i zapominać o nich nam się nie godzi. A jednak zapominamy o nich, a jeżeli sobie przypominamy, to poprzestajemy na krótkich wzmiankach dziennikarskich, mniejszych od recenzyi z głupiej farsy francuskiej, lub od opisu balu czy footballu.

Mam tu na myśli 50 tą rocznicę pierwszego sejmu galicyjskiego i wogóle fakty ze wspomnieniami tej chwili łączące się. Już w r. 1859 powiał nowy wiatr z Wiednia — ówczesne rozporządzenia, tyczące się Galicyi, były to pierwsze jaskółki zapowiadające wiosnę. Dyplom październikowy (1860.) Gołuchowskiego wprowadził monarchię na nowe tory wewnętrznej polityki. Brak miejsca nie pozwala na pobieżne choćby przedstawienie przebiegu historycznego tego odrodzenia. Dość, że iskra elektryczna przebiegła po całym kraju, a Wiedeń ujrzał ze zdumieniem w swych murach olbrzymią deputacyę galicyjską (styczeń 1861). Wkrótce na podstawie, co prawda, bardzo wadliwej i tendencyjnej, konstytucyi szmerlingowskiej, odbyły się w Galicyi pierwsze wybory sejmowe, a 15 kwietnia 1861 r. rozpoczął obrady pierwszy sejm galicyjski. Wprawdzie obradował on krótko, ale zaznaczył się w nim wybitnie duch ożywiający społeczeństwo, zaznaczyły się nasze dążenia. Już wówczas wybiły się na pierwszy plan takie postaci jak Adama Potockiego, Ziemiałkowskiego, Smolki, Zyblikiewicza, Dietla, Tomaszewskiego, Leona Sapiehy...

Jakkolwiek później centraliści usiłowali rzekę do dawnego sprowadzić łożyska, jakkolwiek były jeszcze chwilowe przygnębienia i niepewności, to przecież nowe zasady zwyciężyły. Z tych też czasów pochodzi początek wszystkiego, cośmy później uzyskali — te czasy wydały ludzi, którzy stanęli na czele pracy politycznej i reform wewnętrznych. Więc też bez przesady powiedzieć można, że Galicya w swych dziejach (pomijając krótkotrwałe rządy ks. Józefa w r. 1809 i zdarzenia 1848 r.) nie miała chwil piękniejszych, niż te, które na jej kartach za pisały lata 1859—1861. Dlaczego więc o tej rocznicy czy tych rocznicach taka cisza? Dlaczego osobne fejletony w dziennikach a nawet kilkuarkuszowe artykuły w miesięcznikach poświęcamy jubileuszowi jakiegoś kompozytora zagranicznego, a ten nasz jubileusz zbyliśmy prawie milczeniem? Czy tylu wreszcie mamy dziś znakomitych polityków i mężów zasłużonych na polu społecznem, że nie warto wspominać o jakichś tam Gołuchowskich, Smolkach, Adamach Potockich, Ziemiałkowskich...

Co prawda Kraków jest usprawiedliwiony, zachodziły w nim bowiem w ostatnich dniach i zachodzą jeszcze wypadki epokowej doniosłości. Wobec wyborów do rady miejskiej wszystko zeszło na plan drugi, a bodaj czy na całym kontynencie jest ważniejsza sprawa nad rozstrzygnięcie, komu wydzierżawić teatr krakowski. Zgłosili wprawdzie swe dobre chęci i usługi pp. Lelewicz, komik operetkowy, p. Ignacy Nikorowicz, autor paru sztuk scenicznych i p. Książek, redaktor z Łodzi, ale „opinia" nie zastanawiała się nawet nad tymi kandydatami. Solski czy Bandrowski? — *that ist the question*. Cały Kraków podzielił się na dwie partye: Solszczyków i Bandrowszczyków. Zastępy pierwszej są nierównie liczniejsze. Zresztą kwestya ta (jak twierdzi jeden z dzienników) „jest bezwarunkowo w opinii całej Polski rozstrzygnięta na korzyść Solskiego". Ha! jeżeli cała Polska oświadcza się za Solskim, to szkoda gadania. Mam jednak co do tego pewne wątpliwości. Chcąc się przekonać, czy to prawda, zwołałem naprzód całe me koło familijne. Pokazało się, że są w nim jednostki (o zgrozo!) zupełnie dla tej sprawy obojętne; przy głosowaniu było 5 kartek za Solskim, 4 za Bandrowskim a 6 białych. Udałem się do pewnego klubu i tam prosiłem o wydanie opinii. Na dwudziestu obecnych w lokalu członków, tylko trzech chciało ze mną gadać — reszta zwróciła grzecznie moją uwagę, że do chwili, kiedy zapowiedziano *pagat ultimo*, a przy innym stoliku rozgrywają się *piques royals*, nie wypada zajmować drobiazgami ludzi oddanych ciężkiej pracy zawodowej. Zabłądziłem z kolei do „niewiast katolickich", ale tam nie znalazłem najmniejszego zainteresowania się tą sprawą; „niewiasty postępowe" goręcej się nią wprawdzie zajęły, ale różnica zdań była dość znaczna. Poszedłem pomiędzy „lud" miejski, lecz tu spotkałem się z oburzającą ignorancyą; o żadnym „Szolskim" nie słyszano, a z wielkiej rodziny Bandrowskich znano tylko tego „mikrnego, grubego", co robi w „poletyce". Niezrażony, pragnąłem zbadać opinię dalszej Polski, porozsyłałem więc kwestyonaryusz do różnych znajomych w Galicyi, Królestwie i Poznańskiem. Niestety nie otrzymałem żadnej odpowiedzi z Poznańskiego, z Królestwa zaledwie trzy (na 50 kwestyonaryuszy), a z Galicyi dwanaście. Z królestwa pierwsza odpowiedź brzmiała: „Solski", druga: „Nic mnie to nie obchodzi"; autor zaś trzeciej przyznał się otwarcie, że czytał coś o Solskim w *Kuryerku*, ale na podstawie tego nie może jeszcze wydać sądu, a co do Bandrowskiego, to go słyszał śpiewającego i bardzo mu się głos jego podobał. Z galicyjskich odpowiedzi powziąłem najgorsze wyobrażenie o inteligencyi moich korespondentów; prawie wszyscy bowiem twierdzili, że to sprawa nie polska, nie narodowa, ale krakowska, domowa. Jedna zaś z odpowiedzi brzmiała dosłownie: „Czy ten, czy ów będzie dyrektorem, to mniej więcej wyjdzie na jedno. Każdy będzie wystawiał te sztuki, których dostarczą nasi pisarze dramatyczni lub które są nowościami za granicą. Kto zaangażuje lepszych aktorów, ten będzie miał i teatr lepszy. Glikson nie posiadał żadnych tak zwanych kwalifikacyi, a bodaj się jego czasy wróciły. Grali za niego Hoffmanowa, Wolska, Wojnowska, Siennicka, Pysznikówna, Frenkiel, Żelazowski, Rygier, Konopka, Solski, Werner, Śliwicki, Szymanowski, Rzeczkowski"... — Po tak mroczym wyniku kwestyonaryusza udałem się jeszcze na wieś między lud, ale ze wstydem muszę przyznać, że ta epoka naszego bytu wzięła mnie za agitatora jednego z kandydatów na posła do parlamentu, (inni kandydaci nie jej nie obchodzą); co więcej przekonałem się, że o kulturalnem postannictwie teatru niema najmniejszego wyobrażenia. Wobec tych wywiadów nic dziwnego, że zbudziła się we mnie wątpliwość, czy jest prawdą, aby „kwestya ta w opinii całej Polski była bezwarunkowo rozstrzygnięta na korzyść Solskiego".

Kandydatura p. Książka z Łodzi nasuwa mi myśl walkę, jaką w tem mieście stoczono z bandytami. Przypuszczam, że redakcya *Nowości* da na innem miejscu obraz tego sensacyjnego wypadku. Ja zwrócę tylko uwagę na charakterystyczny szczegół, a mianowicie na to, że w mieszkaniu bandytów znaleziono opowiadania Sherlocka Holmesa. W parę dni później 16-letni Tober zamordował w Warszawie właściciela pokojów umeblowanych, a między rzeczami zabójcy znaleziono zeszyt „Przygód słynnych agentów śledczych". Widzimy z tego, że wszelkiego rodzaju Sherlocki Holmesy są literaturą zbójów i bandytów.

Sezon footballowy.

Nie ulega wątpliwości, że sport footballowy przyjął się w Krakowie. Swiadczy o tem nietylko ilość matchów, jakie się w Krakowie w tym sezonie rozgrywają, nietylko te ogromnie liczne zastępy chłopaków różnego wieku, którzy bądź na błoniach, bądź na podwórzach domów a nawet po mniej uczęszczanych ulicach uprawiają grę w piłkę, ale przedewszystkiem te tłumy publiczności, które gromadzą się na boiskach, gdy który z krakowskich klubów ogłasza publiczny match z jakąś zamiejscową drużyną. Tak było i w ostatnią sobotę i niedzielę, gdy na boisku pozłotowem grała „Cracovia" z drużyną reprezentatywną Królestwa polskiego, a na błoniach „Wisła" ze słynną „Spartą" z Pragi.

Z wspomnianych czterech matchów tylko dwa matche „Wisły" ze „Spartą" przedstawiały się interesująco ze stanowiska sportowego. Stanęły bowiem do zawodów dwie drużyny poważne, których zapasy musiały zaciekawić każdego miłośnika sportu i dać szereg momentów, pełnych emocyi.

Drużyna „Sparty" przybyła w znacznie odmiennym składzie jak w zeszłym roku do „Cracovii". W składzie odmiennym i trochę słabszym. Jej atak nie miał tej szalonej lotności ani tego nadzwyczajnego tempa, jakie podziwiano wówczas w Krakowie. Mimo to pokazała „Sparta" grę bardzo piękną, kombinacyjną a poszczególni gracze wykazali dużo wytrzymałości i wysoko rozwiniętą technikę gry w piłkę.

Nadzwyczaj miłą niespodziankę sprawiła swą grą, zwłaszcza w drugim dniu, „Wisła" krakowska. W sobotę wprawdzie przewaga była po stronie „Sparty", mimo to „Wisła" broniła się bardzo dobrze i wytrwale, przegrała też tylko w stosunku 0 : 6 (0 : 2), natomiast w niedzielę przez całą pierwszą połowę atakowała „Wisła" i utrzymywała grę nieustannie po stronie „Sparty". Także w drugiej połowie przez długi czas nie mogła „Sparta" zmóc dzielnych ataków i doskonałej obrony „Wisły" — tak że stosunek 1 : 1 utrzymał się aż do dwudziestej minuty przed końcem matchu. Dopiero w ostatnich chwilach „Sparta" rozwinęła ostrzejsze tempo i zdobyła forsownymi atakami cztery dalsze goale, wskutek czego wynik ostateczny przedstawia się 5 : 1 na korzyść „Sparty".

Wyniki te są bezsprzecznie pochlebne dla „Wisły" i świadczą bardzo dodatnio o rozwoju sympatycznej drużyny.

Matche „Cracovii" z „reprezentatywną" drużyną Królestwa polskiego, sympatyczne ze względu na występ miłych i drogich gości z Warszawy i Łodzi, nie przedstawiały interesu sportowego, gdyż football w Królestwie stoi na razie na bardzo niskim poziomie, stosunek więc sił obu drużyn nie był zupełnie odpowiedni. Nadto pierwszego dnia „Cracovia" grała z widocznem lekceważeniem przeciwnika, w tempie powolnem, wprost nudnem, nie starając się zupełnie o pokazanie gościom pięknej gry. Stosunek 5 : 2 na korzyść „Cracovii" był też wynikiem kurtoazyi wobec gości, których nie chciano zniechęcać okazaniem wielkiej przewagi. Zapomina atoli „Cracovia", że i publiczności, opłacającej dość wysokie ceny wstępów, należy się pewna kurtoazya.

Lepiej nieco spisała się „Cracovia" w dniu drugim, zdobywając 11 punktów na przeciwniku i tym atoli razem tempo gry pozostawiało wiele do życzenia.



Sezon footballowy: Drużyna „Sparty" z Pragi; w trzecim rzędzie „Wisła" krakowska.

Walki w Marokku.

Zawikłania marokkańskie już raz omal nie stały się przyczyną wojny europejskiej. Wówczas Francya przestraszyła się konsekwencyi swej zaborczej polityki, zwolennik tej polityki, Delcassé, ustąpił ze stanowiska ministra spraw zewnętrznych, a Marokko uznane zostało za terytoryum otwarte dla wpływów i interesów wszystkich mocarstw. Z powrotem Delcassé'go na arenę działalności publicznej rząd republiki znowu bierze się energiczniej do wzmocnienia swego stanowiska w Marokku.

Sposobność do tego nastręczyło powstanie kilku szczepów przeciwko sułtanowi Mulejowi Hafidowi, którego swego czasu wyniesiono na tron właśnie dzięki jego wrogiemu dla Europejczyków usposobieniu. Ale czasy się zmieniły. Dziś Mulej Hafid, chcąc za wszelką cenę utrzymać wymykające z rąk berło, oparł się na Francyi i z jej pomocą broni się przeciw ruchowi, który przybiera coraz groźniejsze rozmiary.

Powstańcy oblegli stolicę Fez, a załoga, złożona z wyćwiczonych przez Francuzów krajowców i nielicznych posiłków francuskich, z trudnością tylko odpiera ich szturmy. Pojawiły się już były wieści o upadku Fezy. Wieści te uznano wkrótce za fałszywe, ale sytuacya jest groźną, gdyż wojsko francuskie, śpieszące z odsieczą, tylko z trudnością przebija się przez zbuntowane okolice. Na czele powstańców stoi obecnie brat Muleja Hafida, Mulej Zin, którego obwołano już nawet w Mekines sułtanem.

Francya postanowiła stłumić ten ruch i w przeciągu dwu miesięcy ma poprostu zalać wojskiem objęte nim kraje. Jeżeli jej się powiedzie, wpływ republiki wzrośnie ogromnie, a tego boją się przedewszystkiem Niemcy, których dzienniki już biją na trwogę i raz po raz wspominają o interwencyi mocarstw. Z poza marokkańskich zamieszek wygląda



Walki w Marokku: Sułtan Mulej Hafid.



Walki w Marokku: Jeździec ze zbuntowanego szczepu Szerarda.

znowu dalekie, chociaż i niewyraźne, widmo wojny europejskiej...

Olbrzymia maszyna rolnicza.

Ze wszystkich nadzwyczajności, jakiemi Ameryka może zaimponować Europejczykowi, na największą uwagę zasługuje zorganizowana wedle ostatnich zdobyczy wiedzy i posługująca się wybornemi, potwornych wprost rozmiarów maszynami rolniczemi eksploatacya urodzajnych obszarów zachodu i północnego zachodu. Wyobraźmy sobie naprzykład, jakie byłoby zdziwienie wieśniaka galicyjskiego, który przywykł do chodzenia od rana do nocy za swym niewielkim pługiem, dziełem wiejskiego kowala, a choćby najbardziej postępowego z naszych gospodarzy, używającego już doskonalszych maszyn, — gdyby ujrzeli olbrzymi pług, przedstawiony na naszej illustracyi.

Pług ten posiada ośm dużych lemieszów i wszystkimi równocześnie zagłębia się w ziemię, krając ją do głębokości 40 cm., odrzucając bez trudu korzenie i głazy, pracując bez przerwy dniem i nocą. Koszt zorania nim hektaru pola waha się stosownie do rodzaju gleby pomiędzy 3 a 7 koronami. Gigantyczna maszyna i jej motor gazolinowy, które wykonywują pracę kilkudziesięciu ludzi i koni, potrzebują do obsługi zaledwie dwu osób.



Sezon footballowy: Reprezentatywna drużyna Królestwa polskiego (Warszawa-Łódź.)

Udały debiut.

Po czternastu latach wznowiono na scenie lwowskiej „Dzwon zatopiony“ Hauptmanna. Sztukę tę, jeden z najlepszych, jeżeli nie najlepszy utwór niemieckiego autora, odegrano i tym razem znakomicie. Główne role spoczywały w rękach takich artystów, jak Feldman i Żelazowski, obok nich zaś wybiła się na pierwszy plan debiutantka. panna Róża Łuszczkiewiczówna, która objęła rolę Rusałki.

Debiut był prawdziwym tryumfem, jakich mało zapisały kroniki teatralne. „Rajski ptak talentu zatrzepotał wczoraj skrzydłami w klatce teatralnej“ powiada o nim Makuszyński w „Słowie polskiem“. Panna Łuszczkiewiczówna posiada wszelkie warunki na wybitną artystkę, a Rusałkę grała tak, że dyrekcya teatru lwowskiego zaangażowała ją zaraz po pierwszej próbie, że publiczność podczas premiery nagradzała ją raz po raz długotrwałymi oklaskami, że prasa połączyła się w jednym hymnie pochwalnym na cześć debiutantki.

Jej powodzenie było w wielkiej części zasługą Zapolskiej i Żelazowskiego. Autorka „Moralności pani Dulskiej“ odkryła talent dramatyczny panny Łuszczkiewiczówny, utwierdziła ją w myśli poświęcenia się pracy scenicznej i udzielała jej swoich wskazówek. Właściwym nauczycielem był Żelazowski, który obok wybitnych zdolności aktorskich posiada w wysokim stopniu talent pedagogiczny.

Scenie polskiej przybyła tedy nowa pracownica. Oby działała z chlubą dla niej i spełniła nadzieje, jakie obudziła swym pierwszym występem.

Jubileusz aktora.

Jeden z najlepszych aktorów polskiego teatru w Poznaniu, Feliks Kosiński, doskonały komik operetkowy, obchodził niedawno jubileusz dwudziestopięcioletniej pracy na scenie.

Po wieloletniej tułaczce z teatrami prowincyonalnymi w Królestwie i Galicyi, został p. Kosiński zaangażowany do teatru miejskiego we Lwowie, gdzie wyróżnił się swą pracowitością oraz szczerym, naturalnym humorem i dowcipem. W operetce lwowskiej należał też do sił bardzo cenionych. Zna go również publiczność krakowska, gdyż bawił tu kilkakrotnie wraz z całą trupą operetkową teatru lwowskiego.

Po objęciu dyrekcyi teatru poznańskiego przez Lelewicza, Kosiński przeniósł się razem z nim do Poznania, gdzie odrazu zajął wybitne stanowisko i zyskał sympatyę publiczności a uznanie krytyki. Grywa nietylko w operetkach, ale i w wodewilach i farsach.

Z powodu jubileuszu otrzymał Kosiński na benefisowem przedstawieniu wiele podarków i życzeń, jako wyrazy uznania i sympatyi, które mu będą zapewne i w dalszej karyerze scenicznej towarzyszyć.



Olbrzymia maszyna rolnicza: Pług amerykański o ośmiu lemieszach.



Gościnne występy: Irena Solska.

Gościnne występy.

Znakomita artystka nasza, Irena Solska, ciesząca się słusznie tak ogólnem i jednozgodnem uznaniem i sympatyą wśród publiczności krakowskiej, gościła w Krakowie przez kilka tygodni, kreując na scenie teatru miejskiego cały szereg swych doskonałych, popisowych ról.

P. Solska ustąpiła ze sceny krakowskiej w roku zeszłym, zostawiając po sobie lukę trudną do zastąpienia. Brak też tej znakomitej i cenionej artystki dawał się nieustannie uczuwać. Wiadomość zaś o przybyciu jej do Krakowa na gościnne występy przyjęto z szczerem zadowoleniem.

W ciągu kilkutygodniowego „gościnnego“ pobytu na scenie krakowskiej, kreowała Solska prawie wszystkie swe wielkie role, w których dała się dawniej już poznać publiczności tutejszej i w których zdobyła ogromne powodzenie, że wspomnimy tu tylko parę najważniejszych, jak w „Cydzie“, „Lilli Wenedzie“, „Wachlarzu Lady Windermere“, „Norze“, „Erosie i Psyche“ i innych. nadto wystąpiła w dwu nowych rolach, t. j. w „E hu“ i „Aglawenie i Selysecie“.

Wielkie, niepospolite zdolności p. Solskiej, jej wysoka kultura artystyczna i inteligencya są zbyt dobrze znane, zbyt często dawaliśmy wyraz temu przekonaniu, by trzeba było teraz owe pochwały powtarzać. Zamieszczamy tylko portret p. Solskiej wraz z wzmianką o cyklu jej gościnnych występów, kończąc życzeniem, byśmy w przyszłym sezonie mogli p. Solską powitać znowu jako stałą współpracowniczkę sceny krakowskiej.



Udały debiut: Róża Łuszczkiewiczówna.



Król Piotr gościem Austryi: Król Piotr serbski.



Jubileusz aktora: Feliks Kosiński

Król Piotr gościem Austryi.

Niedawno jeszcze nikt nie przypuszczał, iż wogóle nadejdzie chwila, w której król Piotr serbski przybędzie w gościnę do cesarza austryackiego, a tem mniej, iż nastąpi to tak prędko. Przecież dwa lata temu, gdy było poważne niebezpieczeństwo wybuchu wojny austryacko-serbskiej, pisma serbskie wyrażały się w tak niedelikatny sposób o Austryi a w szczególności o sędziwym cesarzu Franciszku Józefie, że niepodobna było przypuszczać, by porozumienie i pewna serdeczność stosunków między dwoma tymi dworami mogła kiedykolwiek powrócić.

A jednak w połowie maja przybędzie król Piotr do Budapesztu, aby złożyć wizytę cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Zamiarem mianowicie Austryi jest okazać wobec Europy, iż jej polityka jest wielkoduszna, zwłaszcza wobec przeciwnika słabszego, któremu gotowa jest zapomnieć dawne grzechy i przewinienia. Dobre stosunki z Austryą leżą przedewszystkiem w interesie Serbii, która mając zapewnioną przyjaźń i życzliwość tego sąsiada, może rozwijać się i róść w potęgę. Zrozumiał to, zdaje się, król Piotr i dąży do naprawienia błędów dawnej swej polityki, dążąc do tego wbrew opinii niedojrzałych umysłów wśród poddanych swoich, którzy nie są zadowoleni z podróży swego króla i z wizyty do Austryi.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 15.

Zadanie konikowe: Lepszy rydz, jak nic.

Szarada: Tęsknota.

Łamigłówka:

Wór
Era
San
Oka
Łut
Ewa
Goa
Odo
Ale
Lew
Lin
Esy
Las
Udo
Jaz
Ara

Krzyż magiczny:

K K A
a a n
K a r t a g o
K a t o l i k
A n a l i z a
g i z
o k a

Zadanie do przestawienia: Tak krawiec kraje, jak mu materyi staje.

Kwadrat magiczny:

W i a t r o n o g i
S y n o w ó d z k o
K o s y n i e r z y
H i p p o p o t a m
K o ś c i u s z k o
M a d a g a s k a r
O s s o l i ń s k i
W o ł o c z y s k a
D u b e l t ó w k a
R ę k a w i c z k i

Zadanie zgłoskowe:

Co wino radzi pijają
A tłuste kąski jedzą.
Nie zbiorą tacy pieniędzy
A zawsze będą w nędzy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: O. Górkowa Chyrów, W. Ossowski Warszawa, A. Bilins i Tarnopol, W. Kwaśniewski Przemyśl, H. Tokarski Jasło, W. Nowacki Lwów, M. Sadowska Kraków, L Ciszewski Radomyśl, K Zerygiewicz Stanisławów, J. Ostrowski Piotrków, M. Świrska Sandomierz, W. Bandrowski Rzeszów, W. Thun Kalisz, J Kalinowska Warszawa, M. Więckowska Sanok, J. Wyka Rzeszów, K. Zachara Sanok, Ch Wa g Rzeszów, J. Engelberg Rozwadów, K. Balicki Stanisławów, T. Woźniakowski Radom. J. Lisowski Jasło. S Darowski Warszawa, M Wojkowski Tarnopol, I. Brzostowski Sanok, J Michalski Jaworów, K. Schmidt Lwów, J Lemiszewski Stanisławów, H Rosenbaum Mielec, M. Klappholz Rzeszów, J Trojacki Wiedeń, H Pątek Podwołoczyska, W Obraczay Cieszyn, J. Jahoda Cieszyn, K Armatys Cieszanów, J Czarkowski Ulanów, M. Moszyńska Lwów, M Planecka Kraków, F Gebhardt Kraków, J. Łopatkiewicz Tarnów, H Barnat Lwów J. Antosz Kołomyja, K. Stępień Kałusz, M Włodek Warszawa, K O ibiński Jordanów, K. Kaim Kraków, S Kowalówka Kraków, J Lisowski Kołomyja, M. Bielawska Sambor, H. Popiel Rzeszów, K. Wodziński Rzeszów, M. Pick Łódź, J Czernecki Złoczów, K. Laurecki Sanok, J. Krysakowski Lwów, K. Gliński Kołomyja, S Hubaczek Tarnopol, D. Sedyńska Kraków, J. Jakubowska Kraków, R. Knapik Kraków, J Kopczyńska Bierzanów, T. Jeziorski Oświęcim, F. Horak Lwów, T Nikiel Wiedeń, K Wilczkiewicz Jasło, J. Bałuk Kraków, K Broda Strzyżów, M Serwatowska Warszawa, J Łopatyński Lwów, H Zielińska Rzeszów, M. Sonntag Piotrków, J. Bernstein Warszawa, W Hołubasz Stanisławów, J Stępień Budapeszt, T Mazarski Radom, J. Trepka Sandomierz W. Lipowski Jasło, H Gromnicka Lwów, J Sapecki Poznań, M Skalska Kraków, W. Stolarska Podgorze. S Kryżanowski Podgórze, F Frankowicz Warszawa, J Jaworski Hu atyn, K. Dymnicki Tarnobrzeg L Karwowski Poznań. K. Cegielski Berlin. W. Urban Lwów, H Morawska Rzeszów. H Rosenberg Warszawa, M. Malinowska Winnica. J Dzikowski Tomaszów, K. Łapiński Kraków, S. Bukowski Kijów, R Dąbrowski Janów, A. Bocioń Bobrka, K Turecka Tarnopol. E Bogdalska Koropuż, K. Fuchs Czeremchów, M. Oleksiukowa Holeszów, M. Serbeńska Budzanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. E. **Bogdalska Koropuż.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z Cyrku Edison: Najnowszy sensacyjny program od 24 bm do 4 maja br., ostatni w tym sezonie, zaleca się niezwykłym doborem obrazów. które zadowolić mogą nawet najbardziej wybredny smak artystyczny.

Clou programu stanowić bedzie najnowsze zdjęcie ściśle historyczne „Upadek Troi“ w którem przed oczami widza przesuwa się stylowy obraz sielanki miłosnej Parysa i Heleny, bohaterskich walk Greków i upadku Troi. wszystko w najdrobniejszych nawet szczegółach, historycznie wierne, pełne niebywałego przepychu i wystawy Film tego obrazu wynosi około 800 metrów długości. Niemniejszą atrakcye stanowić będzie wstrząsający dramat z życia wielkomiejskiego „Miłość macierzyńska“ i „Przegląd tygodniowy“ najważniejszych wypadków i wydarzeń ostatniego tygodnia. Programu dopełni kilka obrazów treści pouczającej i humorystycznej. oraz doskonałe zdjęcia „Ćwiczeń ekwilibrystycznych“ z programu wiedeńskiego „Apollo Teater“.

Ze świata kobiecego.



Toaleta wieczorowa lub do teatru.



Toaleta spacerowa.

Toalety pań wobec zabaw wiosennych.

Wielkanoc zamknęła okres rautów i fix'ów, na których, pomimo postu, tak ochoczo bawi się zwykle towarzystwo, znajdując pole do zawiązania bliższej znajomości, wzbudzenia większego zainteresowania; dłuższe rozmowy bowiem pozwalają bardziej wykazać inteligencyę i dowcip.

Ale te kobiety, które czują, że więcej zrobią wrażenia, wirując w ramionach mężczyzny, aniżeli wiodąc z nim mniej czy więcej interesującą rozmowę, ale młode panienki, które potrzebują wytańczyć się do umęczenia, dla zadośćuczynienia właściwej swemu wiekowi bujności postarały się już dawno, aby po z mowym, następował letni karnawał. Krótkość nocy wynagradza urok ich, płynący z woni wiosennych kwiatów; krótkość zabawy nagradza zapał i animusz, z jakim tancerze pragną wykorzystać każdą chwilę.

Stoimy oto u progu tego okresu i trzeba rozejrzeć się, jaki rodzaj toalet nosić się będzie na balach wiosennego karnawału.

Otóż pani Moda bezwzględną będzie dla tańczących, przypisując suknie równie wąskie na bale jak na ulice. Znać, że nie Polacy decydują w tym względzie, ci bowiem pamiętaliby o mazurze, w którym „lekko a posuwiście sunęły" nasze prababki, a który przy dzisiejszych wąskich sukniach musi ograniczać się na dreptaniu. Treny szpiczaste, czasem rozdzielone jak ogon jaskółki. Dużo sukien balowych posiada spódnice rozcięte z przodu lub z boku, odsłaniając spod sukni, nierzadko z koronki lub materyału prawie przeźroczystego, pozwalając dopatrywać się zarysu nóg, przebijających dyskretnie a kokieteryjnie. Coś podobnego widywało się już w końcu XVIII. stulecia, w epoce która tyle nadzwyczajności zrodziła.

Co do materyałów to sztuka tkacka wyrabia coraz świetniejsze i delikatniejsze tkaniny, które prawem kontrastu przybierane bywają ciężkimi haftami; składa się na nie złoto, srebro, jedwabie i kamienie, bogactwem barw i blaskiem świadczące o nadzwyczajnym rozwoju fantazyi dekoracyjnej. Włosy przystrajają panny kwiatami, fantastycznemi przepaskami i galonami; natomiast mężatki wkładają na nie siatki złote, przetykane kamieniami i bogate torsady, przypominające wspaniałe czasy renesansu.

Panie, które biorą udział w balach więcej jako obserwatorki, pragnące przytem olśnić strojem i świetną powagą, wkładają mory, lamy, aksamity, nie drapujące się w miękkie fałdy, jak lekkie stroje młodych panienek, ale tworzące majestatyczne linie i imponującą całość. Takie toalety dopiero stanowią odpowiednie tło dla klejnotów: naszyjników, dyamentów, bransolet, tak dziedziczonych po matkach jak i dzisiejszych, tak wytwornych i rozmaitych w kształcie i ornamentach.

Drugą rozrywką wczesnej wiosny jest teatr. Z nastąpieniem upałów podwoje pierwszorzędnych teatrów zostają zamknięte, artyści rozjadą się na zielone leże, trzeba przeto korzystać jeszcze z ostatnich tygodni, w których można spędzić wieczór, rozweselając się wyborną komedyą, lub szukając wstrząsających wrażeń na współczesnym dramacie.

W lożach pierwszego piętra z rozpoczęciem wiosny nie widać balowych toalet, które podnosiły blask sali w karnawale, a które w Paryżu podziwia się zawsze w Operze, a we wtorki w teatrze Francais, oraz w czwartki w Operze Komicznej. Natomiast widzi się coraz częściej lekkie batysty, valencieny, tak podnoszące młodość i *voile*, które barwami i deseniami rywalizują z najbogatszemi tkaninami. Przyjęło się mieć w teatrze boa lub lekki szal gazowy czy jedwabny, potrzebne niezmiernie przy wychodzeniu z gorącej sali na korytarz, oraz przy przewiewach loży. Woreczki, tak potrzebne dla schowania lornetki, chusteczki, czy afisza, stają się coraz częściej arcydziełami sztuki.

Co do rękawiczek to najwłaściwsze do każdej toalety w teatrze są cienkie rękawiczki szwedzkie w kolorze *gris perle*.

Pięknie uczesana główka, z mnóstwem loków, dopełnia eleganckiej całości, o ile dama nie zajmuje loży i nie woli zachować kapelusza. W tym razie mają panie obszerne pole pokazywania przez kilka godzin twarzyczek swych w ramach fantastycznych *tengali*, aksamitów, błyszczących jak metal, kwiecistych jedwabiów chińskich i *chiné*, stanowiących pod bicia rond, oraz prześlicznej dekoracyi i *pleureses*, w najprzeróżniejszych barwach, które, jak bajeczne wiechy z zaczarowanych krain spływają z kapeluszów.

Jakby wskutek jakiejś igraszki mody, o ile balowe, teatralne i obiadowe toatety pań stają się coraz węższe, o tyle męskie rozszerzają swój obwód u dołu surdutów i marynarek. Czy aby nie grozi nam, że wobec prawie wyłącznie stosowanej u panów w Paryżu mody golenia wąsów, nie przepisze nam ona sztucznego aplikowania bród i wąsów! Loki coraz mocniej zachodzące na twarz, dość skutecznie już zastępują bokobrody.

No, ale temu oprze się chyba większość niewiast, ta która potrafiła zwalczyć nawet jupe culotte!

Olbr...

NADESŁANE.

Z półek księgarskich.

Słowo prawnicze i ekonomiczne pod redakcyą Dra Zygmunta Mandla Kraków 1-go kwietnia 1911. Rok II. Nr. 3.

Treść numeru: Zmiana przepisów o postępowaniu rewizyjnem i rekursowem, napisał Józef Ptaś. — Koncypientura przez dra. Edmunda Benedikta. O znaczeniu studyum prawa dla nauki i praktyki napisał Klaudyusz Żylski. — Pod adresem prezydyum c. k. Sądu. — Kronika. — Gdzie wina. — Od Redakcyi.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

55

— Dzisiaj — odpowiedział Lucyan Wiktor Lourmier.

— Zaraz — śpieszył się Targon.

— Gdzie jest pracownia? — pytał się Palaris.

— Muszą przecież panowie iść po farby i inne przybory — zauważył Lewis Jackson.

— To prawda — potwierdził atleta. — Już biegnę.

Koledzy jego śpieszyli też do drzwi, wzajemnie się popychając. Lucyan Wiktor Lourmier ruszył za nimi z miną zdobywcy. Na progu odwrócił się jeszcze i rzekł businessmanowi:

— Ja nie dla miliona, panie Jackson... Pluję na niego... Chcę jednak pokazać panu co to jest prawdziwa sztuka prawdziwego artysty wobec bohomazów tamtych panów...

Miliarder po wyjściu ich spojrzał na zegarek.

— Dwadzieścia po dwunastej — szepnął — chwila się zbliża.

I wyszedł z salonu.

W wielkiej hali zastał Piotra, Maurycego de Terrade, Panajona i Ewę. Oni również wiedzieli, że zbliża się już kres Maksyma Dureta. Złodziej wyjął w milczeniu zegarek i pokazał go Lewisowi Jacksonowi.

— Tak... mamy tylko kilka minut do czekania...

Nikt nic już nie mówił. Zdawało się, że wszyscy nadsłuchują, jak czas mija.

— Czy tutaj Smith ma przyprowadzić więźnia? — zapytał nagle Panajon.

— Tak — odpowiedział Lewis Jackson.

— Jeżeli się spotkają z panną de Lagunan, będziemy mieli przykrą scenę.

— Nie spotkają się z nią — odrzekł amerykanin. — Kareta wjedzie do przedsionka... Tam zejdziemy... I zaraz odjedziemy do miejsca, w którem Maksym Duret ma dokończyć swego życia.

Znowu zapanowało milczenie. Nagle rozległ się w dali pałacu głos dzwonka elektrycznego i w chwilę potem na progu ukazał się służący.

— Pana proszą do telefonu.

Lewis Jackson, poprzedzany przez służącego w liberyi, minął długą galerye, przeszedł przez dwa wspaniałe salony i znalazł się przy aparacie.

— Hallo!

Zmarszczył zaraz brwi. Poznał głos Joego Smitha i ten głos, który był zawsze pewny siebie i stanowczy, teraz drżał i urywał się co chwila.

— Co takiego? — zapytał miliarder. — Niech pan mówi głośniej i wyraźniej... Nie rozumiem, co pan mówi... Co?... Uciekł?

— Tak — odezwał się głos sekretarza. — Maksym Duret uciekł... Ach! psi syn...

— Zimnej krwi, Smith — przerwał lodowatym tonem businessman. — Nie czas teraz kląć! Kiedy uciekł?

— Przed pięciu minutami...

— Jak?... Spokojnie!... Mówić wyraźnie i krótko...

Joe Smith opowiedział, co zaszło na dworcu.

— Skąd pan telefonuje? — zapytał Lewis Jackson.

— Z komisaryatu kolejowego.

— *All right!* Poprosić do telefonu komisarza! Hallo!

— Hallo! — odpowiedział zaraz inny głos.

— Pan komisarz? — spytał Lewis Jackson.

— Tak, panie...

— Jestem Lewis Jackson, miliarder z Chicago — mówił businessman. — Protestuję przeciw aresztowaniu mego sekretarza... Policya popełniła błąd bardzo przykry dla prefektury...

— Proszę pana...

— Jeżeli pan chce to naprawić, to proszę wezwać natychmiast do telefonu naczelnika stacyi.

— W tej chwili... Proszę nie przerywać, rozmawiamy...

Ajenci pobiegli po naczelnika, który przybył pospiesznie.

— Miliarder amerykański, Lewis Jackson, chce z panem mówić — rzekł mu komisarz, popychając go do telefonu.

Naczelnik stacyi zajął miejsce komisarza i rozmowa zaczęła się znowu.

— Czego pan pragnie? — zapytał.

— Ekstry — odpowiedział lakonicznie businessman.

— Kiedy?

— Zaraz.

— Dokąd?

— Bordeaux... Bayonne... Hendaye... Nie wiem.

— Jakto, nie wie pan? Nie wie pan, gdzie się zatrzyma?

— Zatrzymam się, gdy dogonię Express Południowy.

— Chce pan dogonić Express?

— Tak.

— To niemożliwe.

— Dla amerykanina niema nic niemożliwego.

— Może w Ameryce, lecz nie we Francyi... Południowy Express idzie z możliwie największą szybkością na przestrzeni ośmiuset kilometrów... Nawet w Stanach Zjednoczonych niema tak szybkiego pociągu... Jeżeli nawet mógłbym wypuścić drugi Express, to jechałby na równej odległości za pierwszym, ale nie dogoniłby go...

— Jest pan tego pewny?

— Matematycznie.

— Dziękuję.

I Lewis Jackson, zawieszając słuchawkę, podążył szybko do hali, gdzie go wszyscy oczekiwali.

— Zaraz przybędzie — rzekł były Karol Turner, wskazując na godzinę.

— Niech pan na to nie liczy — odparł zimno miliarder. — Uciekł!

— A mówił pan, że jest pewny swego sekretarza — zawołał Piotr, zaciskając ręce.

— I byłem tak pewny, jak samego siebie... Jest on silny, wytrwały, przebiegły i strzela tak jak pan.

Te ostatnie słowa skierowane były do Panajona i przypominały jego strzał podczas pojedynku.

Były wspólnik Dureta zachował w tajemnicy przed nowymi przyjaciółmi, w jaki sposób zdobył sobie sławę znakomitego strzelca.

— Ten łajdak Duret — tłomaczył Lewis Jackson — kazał się wieść w stronę dworca, gdy miał odejść Express... Potem dał stangretowi adres ulicy, która nie istnieje... Stangret, ma się rozumieć, powiedział, że jej nie zna... Wtedy nasz filantrop wysiadł z karety, by się poinformować u policyanta... Smith wysiadł za nim również... Lecz w chwilę potem policyant po rozmowie z Duretem, rzucił się na mego sekretarza i z pomocą drugiego zaciągnął go do komisaryatu...

— Już wiem! — zawołał Panajon. — Duret powiedział policyantowi: „Ten człowiek chciał mnie okraść... Proszę go aresztować!“ Ach! przeklęty prezes!

— I siadł do Expressu? — zapytał Piotr.

— Tak, a Express według zdania naczelnika stacyi nie może być doścignięty nawet przez drugi Express!

— Ja go dogonię!

VIII.

Lewis Jackson stał między Piotrem a drzwiami hali. Schwycił za marynarkę młodego człowieka, który się zerwał z swego miejsca i zapytał:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Niech mnie wuj puści!

— Domyślam się!... Chcesz jechać samochodem!

— Tak.

— Wyścigowym?

— Naturalnie!

— Zabijesz się! — zaniepokoił się Maurycy.

— Eh!

— W każdym razie — dodał inżynier — będę ci towarzyszył jako mechanik.

Piotr wyrwał się już z rąk swego wuja i wychodził. Przy ostatniem zdaniu Maurycego obrócił się.

— Dziękuję! — rzekł, podchodząc do niego i ściskając go za rękę. — Nie jesteś jednak przyzwyczajony do wyścigów...

Panajon był pełen entuzyazmu.

— I ja nie jestem przyzwyczajony... Ale natomiast jestem pierwszorzędnym akrobatą.. Niech pan mnie weźmie z sobą i posadzi na wierzchu maszyny, a przekona się, czy choć drgnę przy największych skrętach... A jeżeli chodzi o pomoc przy reparacyi, to nikt nie ma zwinniejszych rąk ode mnie.

Piotr potrząsł głową przecząco.

— Zabiorę swego zwykłego mechanika...

— Będzie on panu przeszkadzał — rzekł znowu Panajon — przy schwytaniu Dureta! Ach! błagam pana! niech mnie pan z sobą weźmie!

Ewa chciała coś powiedzieć, lecz nie miała możności wtrącić do rozmowy ani jednego słowa. Wreszcie zawołała:

— Ty nie pojedziesz!

— Nie pojadę? — powtórzył złodziej.

— Nie! nie! nie!

I była prasowaczka schwyciła się kurczowo za palto swego przyjaciela. Panajon nie miał czasu na przekonywanie jej. Piotr już wybiegł. Złodziej zwinny i gibki pokręcił się przez chwilę w objęciach Ewy i nagle w rękach jej pozostało tylko palto. Nie zważając na nie i nie patrząc ani na swą przyjaciółkę ani na pana domu, mniemany John Harris puścił się w pogoń za królem stu dwudziestu koni. Dogonił go przy bramie wjazdowej pałacu. Piotr wskoczył do samochodu, który mechanik na widok swego pana odrazu puścił w ruch. Panajon zdążył usadowić się z lewej strony młodego człowieka.

— Weźmie pan nową maszynę? — zapytał złodziej.

— Tak... W fabryce...

— Zabierze mnie pan z sobą?... Prawda?...

I w przeciągu tych kilku minut, które zużyto na przejazd na Quai Michelet, Panajon wszelkimi sposobami przekonywał Piotra o usługach, jakie mu może oddać. Gdy samochód skręcał całym pędem na Avenue Malachoff, złodziej podniósł do góry ręce i nogi.

— Niech pan patrzy! — rzekł. — Czy muszę trzymać się, by zachować równowagę? Potrafię jeszcze coś lepszego... Czy chce pan, żebym stanął zaraz na głowie?...

Piotr nie odpowiadał.

— Gdy zaś guma pęknie, nikt panu lepiej ode mnie nie pomoże założyć nową... Odbyłem poważną praktykę samochodową... Zmuszony wyłamywać zamki w drzwiach i rozbijać kasy ogniotrwałe, nabyłem takiej zręczności, jaką się nie poszczyci żaden zawodowy mechanik... Pan mnie nie słucha?...

— Owszem! owszem! — odparł Piotr.

— Muszę koniecznie być przy panu, gdy dogonimy Dureta... W przeciwnym razie wyśliźgnie on się panu z rąk... Jestem tego pewny... Pan go nie zna... Słucha mnie pan?... Wyprowadził w pole

Joego Smitha... Omal nie udało mu się to ze mną... Niechże pan powie, że mnie zabiera z sobą!...

— Dobrze! niech już będzie!

Panajon krzyknął z radości. W chwili tej dojechano do fabryki. Piotr wyskoczył z samochodu i jak strzała wbiegł do zabudowań. Złodziej nie opuszczał go na krok. W pierwszem podwórzu stało kilku robotników, majstrów, dwóch inżynierów, a między nimi Wiktor Cartelegue i wszyscy razem oglądali samochód nowego typu.

— Sto trzydzieści koni! Prędko! — zawołał młody człowiek.

Robotnicy, majstrowie i jeden z inżynierów pośpieszyli zaraz do garażu, gdzie stały maszyny wyścigowe.

— Dokąd jedziesz? — zapytał fabrykant, przestraszony miną i głosem młodego syna.

Pani Cartelegue wraz z mężem była ciągle w obawie o niego. Gdy młody człowiek wyjechał do Nowego Jorku, sądzili, że jest już ocalony. Podróż, poważne zajęcia w nowem środowisku każą mu zapomnieć o pannie Dubois. Pewni tego, sami wyjechali do Włoch. Otrzymawszy z Neapolu list, w którym Piotr oznajmiał im o swoim powrocie do Paryża, doznali złych przeczuć. Gdy czytali prawie jednocześnie w dziennikach włoskich telegramy o pojedynku jego, przeczucia ich zamieniły się w przerażenie. I teraz bali się o niego ciągle. Młody człowiek nie zwierzał im się z niczem. Nie mogli z niego wydobyć ani jednego słowa. Domyślali się tylko, że syn ich jest jeszcze bardziej zakochany, niż poprzednio i przewidywali zgubne dla niego pod każdym względem małżeństwo z biedną nauczycielką.

Na pytanie ojca, król stu dwudziestu koni odpowiedział pospiesznie:

— Jadę do Bayonne... A może do Irunu... Nie wiem jeszcze dobrze...

— Dlaczego nie jedziesz pociągiem?... Co za myśl jechać samochodem!... Chcesz poznać drogę?... w jakim celu?...

Fabrykant widząc jego bladość i nerwowe ruchy, domyślał się, że tu chodzi jeszcze o pannę Dubois. Nie wiedział jednak, jaki może być związek między młodą panną a tą podróżą.

— Potem wszystko wytłomaczę — rzekł Piotr. — A zwracając się do inżyniera, dodał:

— Pan będzie łaskaw zatelefonować do Chateauroux, Perigueux i Mont de Marsan... W tych miastach zmienię pneumatyki i odnowię zapas benzyny, tam również i posilę się... Będę pił bulion z jajkiem... Mój towarzysz to samo... Nie będę wstępował do garażu... Niech czekają na mnie na drodze przy wjeździe do miasta...

— O której godzinie pan przybędzie?... — zapytał inżynier.

— Niech pan sam to wyliczy, pamiętając, że jadę całą siłą... Całą siłą, powtarzam...

— Dobrze...

— Ależ to jest szaleństwo! — zawołał Wiktor Cartelegue.

— Jest to konieczne! — odparł młody człowiek tonem tak stanowczym, iż ojciec przestał już oponować.

I poszedł do garażu, w którym przygotowywano samochód o sile stu trzydziestu koni. Była to niska maszyna, o wydłużonej formie, podobna do torpedy i jak ona błyszcząca swą sino-stalową powłoką. Sprawdzano jej mechanizm i naoliwiano wszystkie tryby i śruby.

— Prędko! Prędko! — wołał Piotr. — Błagam panów o pospiech!

Praca wrzała gorączkowo.

— Proszę dodać sześć pneumatyków! — zażądał jeszcze młody człowiek.

Kilku ludzi rzuciło się odrazu na cały stos pneumatyków i w mgnieniu oka sześć kół zostało przymocowanych do samochodu. Jednocześnie inni robotnicy otwierali na oścież drzwi garażu a inni wreszcie pobiegli otworzyć bramę wjazdową fabryki.

Piotr jednym ruchem ręki zrzucił z głowy Panajona jego kapelusz, wziął czapkę majstra i ubrał w nią złodzieja. Potem nasunął na uszy swą własną czapkę i włożył okulary.

— Jeszcze jedną parę okularów! — poprosił

W tej chwili mu je podano. Piotr oddał je Panajonowi. Potem wskoczył do samochodu, złodziej zajął miejsce koło niego i samochód natychmiast z wielkim łoskotem ruszył naprzód.

— Dwunasta pięćdziesiąt pięć — rzekł Piotr. — Express jest już w drodze dwadzieścia ośm minut...

Panajon nie odpowiadał. Był ogłuszony prądem powietrza i oszołomiony tańcem bulwarowych kasztanów, które zdawały się w dziwnych podrygach uciekać gdzieś w dal.

— Baczność! — zawołał młody człowiek.

I nie zwalniając biegu skręcił całym pędem na bulwar Victor Hugo.

— Baczność! — rozległ się znowu głos koło Panajona.

Nastąpił nowy szalony zakręt i samochód mknął przed siebie równą drogą.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył A. Szuber, Zbaraż.

Litery w ten sposób uporządkować, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Środkowy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza i tytuł najnowszego jego utworu.

a

a a a

a a a a a

a a a ą b b b

c c c d e

e e g g g

g h i i i i j

k k k k k

k k k

k l l l ł

ł ł m m m n n

n o o o o o o o o o o o ó

p p p r r r r r r s s s s

s t t t t u u w w y y z z

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Owad. 3. Szeroki nóż. 4 Kwiat. 5. Zgodne brzmienie kilku tonów. 6 Rodzaj łodzi. 7. Utwór sceniczny. 8. Pseudonim polskiego pisarza. 9 Owad 10. Rodzaj orzecha 11. Powieść Żeromskiego. 12. Imię i nazwisko nader popularnego niegdyś w Krakowie powieściopisarza i autora wielu komedyi 13. Nazwisko polskiego malarza i cykl jego obrazów. 14. Utwór Goszczyńskiego.

Szarada.

Ułożyła S. Smendowa, Tyśmienica.

Pierwsze z wiosną woda niesie,
Drugich pełno wśród fasoli,
A całością mędrzec zwie się,
Co raz strzyże, to znów goli.
Takich mędrców znajdziesz wszędzie
Znakomitych w każdym względzie,
Ale to się wiedzieć godzi,
Że najwięcej Lwów ich rodzi.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Sas, muł, kanapa, łazi, m.

Zadanie konikowe.

Ułożyła Dołężanka, Jordanówka.

chli	ze	fir	łeb	ce	ły	li	któ
sza	ko	pło	słab	fa	ko	słoń	ży
wij	we	na	me	tel	pa	ra	w
słup	we	cha	wrót	ły	lo	wot	nich
plu	por	chwa	śmier	li	nych	ruch	rzu
tli	tów	ką	du	dyą	u	w	wi
krzep	ski	a	mi	mo	że	casz	li
men	go	cą	wód	dy	we	chru	się

Zadanie przysłowiowe.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i utworzyć z nich nowe przysłowie:

1. Kto panuje, wolność traci.
2. Długie życie, długa bieda.
3. Na gołego i psy szczekają.
4. Co komu dolega, tego nikt nie czuje.
5. Niema gadu bez jadu.
6. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
7. Czego nie ubijesz, tego nie ujedziesz.
8. Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.
9. Od przybytku głowa nie boli.
10. Rychlej ustanie, kto prędzej bieży.
11. Bogatemu zawsze święto.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

C, hymn, gil, m, ule, łoś, Baden.

Krzyż magiczny.

Ułożyła B. Rutkowska, Piotrków.

Podane litery w ten sposób uporządkować, aby powstały trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a

a a a

a a a

a a a a a b b e e

i k k k k l l l l

m m n n n n n n p

p r r

s s t

t u u

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Bośni. 2. Miasto w Hiszpanii. 3. Ciało prawodawcze.

Kwadrat magiczny.

Ułożył M. J. Lefas, Warszawa.

Podane litery wstawić w ten sposób w pola kwadratu, aby powstał szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Litery umieszczone w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego poety.

a, a, a, b, b, c, d, g, k, l, n, n, o, r, r, r, s, t, u, u, w, y, y, y, z.

□ — — — —

— □ — — —

— — □ — —

— — — □ —

— — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Owoc. 2. Nieprzyjemne uczucie. 3. Miasto we Francyi. 4. Rodzaj małpy. 5. Jarzyna.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Maryana Jastrzębca:* **W obronie czci Jasnogóry.**

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Maedjskiego.